miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych cena 0,0 PLN ISSN 1732-8225

ingremio

nr 10 (42)
październik 2007

Letnia Spartakiada Prawników **Katowice 2007**

www.ingremio.org

Legalis
Lege artis

Stoi za nami ponad
240 lat doświadczeń
w gromadzeniu
wiedzy o prawie
dostępnej dziś
w systemie Legalis.

C·H·BECK

Wydawnictwo C.H. Beck przedstawia najnowszą generację Systemu Informacji Prawnej LEGALIS. Elastyczna struktura systemu LEGALIS umożliwia wybór spośród 14 modułów komentarzowych, stanowiących wykładnię podstawowych dziedzin prawa. Zawartość programu poszerzyliśmy o kolejne publikacje cenionych autorów, które dotychczas były dostępne tylko w prestiżowych seriach książkowych C.H. Beck.

Infolinia 0 800 800 025
www.legalis.pl

KANON WIEDZY • KOMPLET KOMENTARZY • AKTUALIZACJA • MODUŁOWOŚĆ

Stanowisko Stowarzyszenia Sędziów Polskich IUSTITIA wobec decyzji Prezydenta RP odmawiającej nominacji sędziów

Stowarzyszenie Sędziów Polskich *IUSTITIA* z ogromnym niepokojem przyjmuje bezprecedensową decyzję Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, odmawiającą nominacji niektórym kandydatom na stanowiska sędziowskie, którzy pomyślnie przeszli wszystkie etapy procedury przewidziane przez obowiązujące przepisy Prawa o ustroju sądów powszechnych. Zdarzyło się to po raz pierwszy po 1990 r.

Szczególny niepokój budzi to, że odmowa poprzedzona była wielomiesięcznym bezskutecznym oczekiwaniem kandydatów na decyzję Prezydenta, a ponadto, że decyzja ta nie została uzasadniona.

Osoby, których odmowa nominacji dotyczy, nie mają w tej sytuacji żadnych możliwości zapoznania się z jej przyczynami, a w obowiązującym stanie prawnym nie mogą też odwołać się do innych organów.

Zarówno opinia publiczna, jak i Krajowa Rada Sądownictwa mają prawo poznać powody, dla których wskazani przez Radę kandydaci nie zostali uznani za godnych sprawowania urzędów sędziowskich.

Zalecenie Nr R(94)12 Komitetu Ministrów dla Państw Członkowskich Rady Europy (przyjęte przez Komitet Ministrów 13 października 1994 r. na 516 posiedzeniu zastępców ministrów) w części dotyczącej niezawisłości, sprawności i roli sędziów formułuje zasadę, zgodnie z którą wszystkie decyzje dotyczące kariery zawodowej sędziów powinny się opierać na obiektywnych kryteriach, a rekrutacji i awansowania sędziów powinno się dokonywać na podstawie ich osiągnięć z uwzględnieniem ich kwalifikacji, prawości, zdolności i sprawności. Organ podejmujący decyzje dotyczące rekrutacji i awansowania sędziów powinien być niezależny od rządu i od administracji. Dla zagwarantowania jego niezależności powinny istnieć reguły, zgodnie z którymi na przykład członkowie tego organu byliby dobierani przez samych sędziów, a ów organ sam by decydował o swych zasadach postępowania.

Organem takim jest w Polsce Krajowa Rada Sądownictwa, a konstytucyjna zasada harmonijnej współpracy władzy wykonawczej i sądowniczej wyrażona w art. 10 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej wymaga współdziałania Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z Radą w procesie nominowania sędziów.

Procedura dochodzenia do nominacji sędziowskiej to wieloletnia, ciężka praca połączona z ogromem wyrzeczeń i rygorów. Arbitralna decyzja Prezydenta godzi w zasadę niezawisłości sędziowskiej, pozwala bowiem na domniemanie, że tylko kandydaci akceptowani przez władzę wykonawczą, bez względu na ich dorobek i zawodową przydatność, mogą oczekiwać nominacji.

Brak uzasadnienia decyzji Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o odmowie nominacji i wskazania jej podstaw prawnych zagraża sędziowskiej niezawisłości i wprowadza niejasne kryteria, jakie powinni spełniać kandydaci na kolejnych etapach sędziowskiej kariery. Jest nie do zaakceptowania w demokratycznym państwie prawa. W ostatnim okresie wielu przedstawicieli władzy wykonawczej i ustawodawczej odwołuje się do niezawisłych sądów jako gwaranta przestrzegania i poszanowania praw i wolności obywatelskich.

Dla prawidłowego wypełniania tej funkcji każdy sędzia musi mieć pewność, że jego zawodowa kariera opiera się na kryteriach obiektywnych, a nie na przekonaniu, że będzie on w swoich orzeczeniach realizował oczekiwania władzy wykonawczej.

Apelujemy zatem do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, aby publicznie uzasadnił swoją decyzję.

Zarząd Stowarzyszenia
Sędziów Polskich IUSTITIA

ingremio

Miesięcznik szczecińskich środowisk prawniczych

www.ingremio.org

Wydawca:
Szczecińska Izba Adwokacka,
pl. Batorego 3; 70-207 Szczecin

Redaktor Naczelny: adw. Roman Ossowski
roman.ossowski@ingremio.org

Redaguje: adw. Roman Ossowski z zespołem

Rada Programowa:

Zygmunt Chorzępa
Prezes Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Szczecinie

Marian Falco
Dziekan Okręgowej Izby Radców Prawnych w Szczecinie

Andrzej Gozdek
Dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Szczecinie

Tadeusz Haczkiewicz
Prezes Sądu Apelacyjnego w Szczecinie

Leszek Pietrakowski
Prezes Izby Notarialnej w Szczecinie

e-mail:
redakcja@ingremio.org

tel. 091 434 01 15

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

Projekt i przygotowanie do druku: Artur Tokarski

Druk: Angraf, ul. Wojska Polskiego 43, Piła
tel. (067) 352 20 24

ISSN: 1732-8225; Nakład 2500 egzemplarzy

05 • Dlaczego kara ograniczenia wolności?
Marian Szabo, Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie w stanie spoczynku

07 • Ochrona środowiska naturalnego prawem człowieka? Prawo do czystego środowiska w świetle orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka
Andrzej Mancewicz, prawnik, student European Master in Human Rights and Democratisation uniwersytetu w Padwie/Wenecji

11 • Bunt
adwokat Dariusz Jan Babski

12 • Prawda Ruska
Stanislav Shipovskiy (student II roku prawa na WPiA US)

14 • Z wiatrem i pod wiatr...
Radosław Włodarczyk, aplikant radcowski przy OIRP w Szczecinie

16 • Deszczowa spartakiada
Radosław Bielecki, Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie

20 • Powroty
dr n. med. Ewa Kramarz, specjalista psychiatra, biegła sądowa

22 • Upadek domu Loitzów
Maciej Strączyński, Przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie

26 • Lokal Kontaktowy „Matka", czyli o przekroju społecznym mieszkańców pewnej kamienicy
Paweł Miedziński (OBEP IPN Szczecin)

28 • „Lex Cywiński"czyli ustawa o ochronie imienia Józefa Pilsudskiego
Maciej J. Nowak, aplikant radcowski

30 • Działalność publiczna urzędników Prokuratorii Generalnej w II Rzeczypospolitej
dr Marek Tkaczuk, Katedra Historii Prawa, Wydział Prawa i Administracji US

32 • Prokurator niezłomny
Marek Karakulski

34 • Złota polska jesień...
Para–Graf

rys. Arkadiusz Krupa (Sędzia Sądu Rejonowego w Goleniowie)

Marian Szabo
Sędzia Sądu Okręgowego w Szczecinie
w stanie spoczynku

Dlaczego kara ograniczenia wolności?

(na przykładzie Sądu Rejonowego w Szczecinie)

W pierwszym półroczu 2007 roku wpłynęło do wykonania 545 orzeczeń skazujących na karę ograniczenia wolności za przestępstwo i 512 za wykroczenie co wraz z pozostałością na koniec poprzedniego roku stanowiło przedmiot realizacji tej kary.

W okresie tego półrocza zakończono postępowanie w 648 sprawach, z czego w 273 na skutek wykonania kary i w 9 z powodu zwolnienia od reszty kary w trybie art. 83 k.k. Natomiast w 109 sprawach orzeczono karę grzywny, a w 181 karę pozbawienia wolności, jako kary zastępcze.

Na koniec półrocznego okresu sprawozdawczego pozostało do wykonania 761 spraw z karą ograniczenia wolności orzeczoną za przestępstwo i 679 za wykroczenie. Z tego 665 orzeczeń nie było wykonywanych z różnych subiektywnych bądź obiektywnych przyczyn, spośród których wymienić należy: uchylenia się skazanego od podjęcia pracy (241 spraw), a także brak zakładów pracy, w których kara ta miałaby być wykonywana (27 spraw). Liczna grupa (311 spraw) kryje się w sprawozdaniu w pozycji „inne przyczyny" niewykonania orzeczeń, do których zaliczyć należy przede wszystkim początkowy tok działań organizacyjnych podjętych w celu wykonywania kary, bądź nieprawomocność orzeczenia kończącego postępowanie wykonawcze.
Powyższe wskazuje na niewielką efektywność wykonywania kary ograniczenia wolności. Stereotypowo przyczyny tego stanu należałoby kojarzyć z pracą sądu. Nie byłaby to jednak prawda. W Sądzie Rejonowym w Szczecinie, podobnie jak w nadzorującym go – za pośrednictwem Wydziału Penitencjarnego – Sądzie Okręgowym sprawom kary ograniczenia wolności poświęca się bardzo dużą uwagę.

Dotyczy to działań i nadzoru Prezesa Sądu i przewodniczących wydziałów, sędziów i wreszcie zawodowych kuratorów sądowych, którzy wykonują podstawowe czynności związane z wykonywaniem kary. Dość powiedzieć, że kuratorzy zawodowi, prowadząc dozory w okresie próby przy warunkowym zawieszeniu wykonania kary, warunkowym przedterminowym zwolnieniu, warunkowym umorzeniu postępowania i wykonywaniu kary ograniczenia wolności, w pierwszym półroczu br. na 1504 wnioski skierowane do rozpatrzenia przez sąd, 858 z nich skierowali w sprawach dotyczących wykonywania kary ograniczenia wolności. Niestety 674 z tych wniosków dotyczyło orzeczenia kary zastępczej w sytuacji, gdy nie dało się ani zmotywować, ani zmusić skazanego do wykonywania tej kary.

Karze pozbawienia wolności towarzyszy stworzona i utrzymana przez państwo infrastruktura wykonawcza polegająca na istnieniu służb poszukiwawczo-doprowadzających, stałej sieci obiektów, w której przy pomocy licznej wyspecjalizowanej służby izoluje się i resocjalizuje skazanych. Dla wykonywania kary ograniczenia wolności takiej infrastruktury nie ma. Musi być ona wytworzona sumptem społecznym Przepis art. 56 ust. 3 k.k.w. stanowi, że karę ograniczenia wolności wykonuje się w jednostkach podległych organowi samorządu terytorialnego, które ten organ wyznaczy oraz w zakładach pracy, placówkach służby zdrowia lub opieki społecznej, bądź instytucjach lub organizacjach świadczących pomoc charytatywną wyznaczonych przez sąd za ich zgodą.

Wydanie na podstawie przepisu art. 58 ust. 4 k.k.w. rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 23 marca 2004 roku (Dz. U. Nr 56 poz. 544) określa tryb wyznaczania tych jednostek, ich obowiązki w zakresie przyjęcia do pracy, zapewnienia bezpiecznych warunków pracy, dozorowania tej pracy oraz zawiadomienia kuratora sądowego o jej przebiegu.

Efektywność wykonywania kary ograniczenia wolności rozbija się o sposób podejścia pozasądowych podmiotów związanych z wykonywaniem kary ograniczenia wolności do realizacji swoich powinności. Podejście to może być najzupełniej formalne i biurokratyczne albo pełne zaangażowania lub wręcz entuzjastyczne, nakierowane na wykorzystania oferowanej siły roboczej na rzecz poprawy estetyki i wyglądu miasta oraz prawidłowego funkcjonowania jego zakładów i instytucji.

Procedura organizacyjna (ustalona tym rozporządzeniem) co roku rozpoczyna się od sporządzenia przez prezesa sądu rejonowego opinii ustalającej liczbę skazanych, którzy zostaną zobowiązani do wykonywania pracy z podaniem liczby godzin w przeliczeniu na jednego skazanego oraz ogólnych rodzajów pracy. Opinię tę przesyła się właściwym organom samorządu terytorialnego, które w ciągu 30 dni mają przesłać prezesowi sądu informację o jednostkach, w których praca ta będzie wykonywana.

Prezes Sądu Rejonowego w Szczecinie w dniu 25 stycznia br. wystąpił do organów samorządu terytorialnego pięciu gmin znajdujących się w granicach właściwości tego sądu. Jedynie od organów wykonawczych dwóch gmin otrzymał informacje o dotychczasowych oraz nowych zakładach pracy, w których praca skazanych będzie mogła być wykonywana. Burmistrz jednej gminy nie wskazał nowych zakładów pracy, okazało się jednak możliwe kierowanie skazanych do dotychczasowych. Natomiast szefowie administracji dwóch gmin nie wskazali w ogóle jakichkolwiek zakładów do wykonywania tej kary.

W ślad za wskazanymi wyżej idą zaniedbania zakładów pracy w zakresie przyjmowania skazanych do pracy, zapewnienia im odzieży roboczej i bezpiecznych warunków pracy i organizowania tej pracy w rozmiarze wynikającymi z wyroku, nadzorowania jej oraz powiadamiania kuratorów sądowych o przebiegu pracy i stosunku skazanych do niej. Nadzór kuratora zamiast polegać na analizowaniu informacji zakładów pracy o przebiegu jej wykonywania w praktyce sprowadza się do dokonywania ustaleń w tym zakresie, bowiem takie informacje od zobowiązanych podmiotów do nich na ogół nie docierają.

Taka organizacja (dezorganizacja) wykonywania kary ograniczenia wolności demoralizuje skazanych, którzy uchylają się od systematycznego wykonywania pracy, bądź od wykonywania pracy w ogóle, co skutkuje orzeczeniem zastępczej kary pozbawienia wolności, której chciano uniknąć i w wyroku wybrano ten rodzaj kary, który nie odrywa skazanego od rodziny i jego otoczenia, nie przenosi go do środowiska, w którym nastąpi bądź pogłębi się jego demoralizacja i nie pociągnie to za sobą wysokich kosztów finansowych i społecznych wykonywanie kary pozbawienia wolności.

W odniesieniu do Sądu Rejonowego w Szczecinie odpada argument o niewielkim pożytku ze skazanych na karę ograniczenia wolności i znacznej fatydze organizacyjnej przy jej wykonywaniu, który można by usprawiedliwić w odniesieniu do sądu, gdzie rocznie skazuje się do 30 osób na tę karę. W sądzie szczecińskim bowiem każdego roku karę tą wykonuje się w odniesieniu do co najmniej 1100 skazanych – mieszkańców Szczecina, a liczbę tę należy przemnożyć przez 12 miesięcy oraz 20 do 40 godzin pracy w każdym miesiącu.

Do tego należałoby doliczyć ok. 480 osób, którym każdego roku zamienia się orzeczoną grzywnę na pracę społeczną użyteczną wykonywaną również w trybie rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 23 marca 2004 r.

Jest to znaczna armia ludzi, która może wykonywać wszelkie niezbędne dla miasta prace porządkowe i upiększające, uczestniczyć w czynnościach związanych z pracami remontowymi, uzupełnić brakujący personel pomocniczy w placówkach zdrowia, opieki społecznej oraz niosących pomoc charytatywną. Jest rzeczą w najwyższym stopniu nierozsądną rezygnować z takich możliwości, zwłaszcza w obecnych warunkach braku siły roboczej.

Wydaje się, że największy impuls do działań w tym zakresie mogłaby nadać Rada Miejska Szczecina. Gdyby właściwe komisje tej rady wnikliwie oceniły istniejącą sytuację, sformułowały zalecenia i dezyderaty, a rada na sesji plenarnej omówiła temat i podjęła stosowną uchwałę formułującą kierunki i sposoby działań oraz zobowiązała właściwą swoją komisję do działań kontrolnych wykonywania tej uchwały, to Szczecin stałby się przodującym miastem w kraju w zakresie prawidłowego wykonywania kary ograniczenia wolności, wykorzystywania pracy w ramach tej kary do poprawy wyglądu miasta i lepszego wykonywania zadań gminy. W ślad za tym zwiększyłaby się częstotliwość orzekania tej kary, sądy rzadziej operowałyby karą pozbawienia wolności oraz grzywną, która w sporej części i tak nie jest egzekwowana, a związku z tym orzeka się zastępczą karę pozbawienia wolności.

Należy bowiem mieć na uwadze, że w orzecznictwie Sądu Rejonowego w Szczecinie (które w żaden sposób nie odbiega in minus od orzecznictwa pozostałych sądów w kraju) za przestępstwa stosuje się karę ograniczenia wolności w stosunku do 11,2 % skazywanych, zaś za wykroczenia – do 9,3 % ukaranych.

Istnienie tak dużych możliwości dla poprawy skuteczności kary ograniczenia wolności, a jednocześnie dla zwiększenia częstotliwości jej orzekania, nakazuje wręcz zajęcie się problematyką jej wykonywania. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż w odniesieniu do kary ograniczenia wolności – tak jak do żadnej innej – jej wykonanie, ze wszystkimi tego konsekwencjami, oddano w ręce społeczności. Realizacja postulatu zwiększania efektywności wykonywania kary ograniczenia wolności jest w zasięgu możliwości szczególnie zawodowych prawników. Dlatego też niezwłocznie powinniśmy przystąpić do jego realizacji... z pożytkiem dla ogółu. [ ]

Andrzej Mancewicz, *prawnik, student European Master in Human Rights and Democratisation uniwersytetu w Padwie/Wenecji*
amancewicz@gmail.com

Ochrona środowiska naturalnego prawem człowieka?

Prawo do czystego środowiska w świetle orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka cz. II

„Margines oceny" i zasada pomocniczości, czyli jak Trybunał szanuje suwerenność

Prawo do czystego środowiska jest elementem prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego zawartego w art. 8 Konwencji. To ostatnie prawo nie korzysta zaś, w świetle tekstu Konwencji, z ochrony absolutnej, nie przewidującej wyjątków. Zgodnie z treścią art. 8 ustęp 2 Konwencji, ograniczanie czyjegoś prawa do czystego środowiska jest zatem dopuszczalne, o ile (przy spełnieniu innych wymogów) jest to uzasadnione wyjątkami zawartymi w treści przepisu. Do takich wyjątków, wyliczonych w przepisie w sposób wyczerpujący, należy przykładowo konieczność zapewnienia „dobrobytu gospodarczego kraju" (economic well-being of the country) lub „ochron[y] praw i wolności innych osób" (protection of rights and freedoms of others).

Ponieważ ocena równowagi między czyimś prawem a będącym w konflikcie z tym prawem interesem społecznym jest w gruncie rzeczy wyborem o mocnym zabarwieniu politycznym, Trybunał – z szacunku dla suwerenności państw oraz z uwagi na istotne różnice w kontekstach politycznych między stronami Konwencji – przyznaje władzom państwowym szeroki tzw. margines oceny (margin of appreciation) zarówno w wyważaniu interesu społecznego i jednostki, jak i w doborze środków mających na celu zagwarantowanie takiej równowagi. Instytucja marginesu oceny pozwala na ustalenie stosunku proporcjonalności środków (ograniczenie czyjegoś prawa) do celów (ochrona konkretnego interesu społecznego).

Margines oceny bywa różny w zależności od wagi danego interesu społecznego w stosunku do danego prawa jednostki. Im bardziej ważki jest interes społeczny, tym szersze jest „pole manewru" władz w ograniczaniu praw jednostek. Margines oceny z kolei zawęża się tym bardziej, im dalej idące jest ograniczenie danego prawa jednostki, lub im bardziej osobisty lub uciążliwy ma ono charakter. Jeśli natomiast ograniczenie czyjegoś prawa nie jest uzasadnione wystarczająco „ciężkim" interesem społecznym – jest ono nieproporcjonalne i wtedy dochodzi do naruszenia Konwencji.

Ponadto, również z uwagi na polityczny wymiar kwestii np. środowiskowych czy gospodarczych, Trybunał kieruje się z reguły zasadą pomocniczości (wyrażoną w orz. Handyside z 7 grudnia 1976, w §§ 48 i 50), według której bardziej właściwe (i lepiej usytuowane) do oceny poprawności politycznych decyzji państw są ich własne krajowe systemy sądownicze, a mniej Trybunał orzekający z odległej, sztrasburskiej perspektywy. W konsekwencji, w sprawach o wyraźnym aspekcie politycznym, lub w skomplikowanych kwestiach technicznych, Trybunał nie czuje się upoważniony, aby narzucać państwom swój własny punkt widzenia, ale stara się w razie wątpliwości uszanować suwerenne wybory władz państwowych, i uznaje ich większe pole manewru w równoważeniu interesu społecznego i interesu jednostki (orz. Powell and Rainer z dnia 21 lutego 1990, w § 44).

Nocne loty na Heathrow - sprawa Hatton w dwóch odsłonach

Trybunał dał wyraz takiemu przekonaniu w kolejnej sprawie środowiskowej Hatton p/ko Wlk. Brytanii (orz. z 2 października 2001). Sprawa dotyczyła mieszkańców okolic angielskiego lotniska Heathrow, którzy narzekali na hałasy wynikające z intensywnych, nocnych lotów samolotowych. I tak już bardzo częste loty uległy w 1993 r. znacznemu nasileniu. Hałasy samolotów uniemożliwiały okolicznym mieszkańcom normalne spanie w nocy: powodowały konieczność używania zatyczek do uszu, nie pozwalały zasnąć przed północą i niejednokrotnie budziły bardzo wczesnym rankiem. Wielu skarżących narzekało na depresję i przemęczenie. Niektórzy zdecydowali się wyprowadzić.

W odpowiedzi na skargę, rząd Wielkiej Brytanii przywołał, jako uzasadnienie wprowadzenia intensywnego nocnego rozkładu lotów, konieczność zagwarantowania „dobrobytu gospodarczego kraju". Działalność międzynarodowego lotniska bez wątpienia wpływała dodatnio na rozwój ekonomiczny Wlk. Brytanii. Wiele samolotów, w szczególności tych przylatujących z daleka, aby lądować na Heathrow poza godzinami nocnymi musiałoby startować w niewygodnych dla klienteli godzinach. Ponadto, wiele zagranicznych lotnisk utrzymywało możliwość intensywnych nocnych lotów, co pozwalało im na zmniejszenie kosztów działalności. Gdyby Heathrow nie podążyło tym samym tropem, wpłynęłoby to na zmniejszenie konkurencyjności lotniska i operujących na nim linii lotniczych.

Nie była to pierwsza skarga na tego typu problem środowiskowy. Już w pierwszej połowie lat 80-tych przed Trybunałem zaczęły pojawiać się skargi dotyczące hałasu o wysokim natężeniu, powodowanego

przez samoloty przelatujące nad położonymi w pobliżu dużych lotnisk domami skarżących (skargi Arrondelle i Baggs). Skarżący powoływali się na ich prawo do ochrony życia prywatnego (art. 8 Konwencji), a opiniująca skargi Komisja (nieistniejący już dziś organ Konwencji) uznała je wstępnie za dopuszczalne, ale nim jeszcze Trybunał miał okazję je rozstrzygnąć, obie sprawy zakończyły się ugodami. W sprawie Powell and Rainer (orz. z dnia 21 lutego 1990), skargi dotyczyły również hałasów znad lotniska Heathrow, ale Trybunał orzekł, że zakłócenia życia prywatnego mieszkańców uzasadnione były koniecznością operowania lotniska, a właściwa równowaga między interesem społecznym i mieszkańców została zachowana.

Tym razem jednak sprawa wyglądała inaczej. W związku z wprowadzeniem nowego schematu lotów, nocne hałasy uległy zwiększeniu i ich wpływ na życie prywatne okolicznych mieszkańców stał się o wiele większy. W rezultacie, interes indywidualny stał się „cięższy" – jako, że życie prywatne mieszkańców okolic lotniska stało się znacznie bardziej uciążliwe – i ocena równowagi między tym interesem a interesem społecznym (działalność lotniska – dobrobyt kraju) musiała być dokonana na nowo. Ponadto, orzeczenie w sprawie Hatton zapadło w 2001 roku, a zatem już po orzeczeniach w sprawach Lopez Ostra i Guerra.

W pierwszej instancji, Trybunał orzekł naruszenie art. 8 Konwencji. W uzasadnieniu powołał się na precedens Lopez Ostra stwierdzając, że samo powołanie się na interes ekonomiczny państwa (tak, jak to miało miejsce w Powell and Rainer) nie może „automatycznie" stanowić uzasadnienia dla ograniczeń praw jednostki. Obowiązkiem władz jest nie tylko powołanie się na konieczność ochrony ważnego interesu społecznego, ale także zagwarantowanie, by ograniczenia praw człowieka uzasadnione tym interesem były wyłącznie „minimalne" (minimum interference). Nie miało przy tym większego znaczenia, że źródłem naruszeń były samoloty prywatnych linii lotniczych, lądujące na prywatnym lotnisku, skoro państwo brytyjskie miało możliwość ingerencji w ich działalność. W ocenie Trybunału, istotne jest przed wszystkim ustalenie, czy władze publiczne dokonały kompletnej wstępnej analizy (full investigation) społecznych kosztów nocnych lotów, czy nie było dostępnych alternatywnych rozwiązań dla zapewnienia równowagi w ochronie interesów zarówno mieszkańców, jak i użytkowników i operatorów lotniska, i czy poczynione zostały wysiłki w celu zmniejszenia uciążliwości związanych ze zwiększonym hałasem (§ 97 orzeczenia).

W ocenie Trybunału, wysiłki poczynione przez rząd Wlk. Brytanii były zbyt „skromne", w szczególności wytknięto brak odpowiedniej analizy skutków poprzedzającej wprowadzenie nowego schematu lotów. Trybunał orzekł, że władze przekroczyły swój margines oceny i w związku z tym dopatrzył się naruszenia art. 8 Konwencji. Tym samym, Trybunał podążył wzdłuż linii orzeczniczej rozpoczętej precedensem Lopez Ostra, ponownie poszerzając wykładnię prawa do ochrony środowiska i orzekając, że same hałasy o nadmiernym natężeniu mogą stanowić „zanieczyszczenie" środowiskowe ujemnie wpływające na jakość życia prywatnego mieszkańców.

Druga odsłona, w której Trybunał wyciąga odmienne wnioski

Wywołująca znaczne kontrowersje sprawa została jednak wkrótce przekazana do rozstrzygnięcia w drugiej instancji przez Wielką Izbę Trybunału. Ta zmieniła wyrok wydany w pierwszej instancji uznając, że w sprawie nie było jednak naruszenia art. 8 Konwencji, bowiem władze Wlk. Brytanii zmieściły się w marginesie oceny i właściwie wyważyły ograniczenie praw mieszkańców z interesem społecznym (orz. Hatton /Wlk. Izba/ z 8 lipca 2003). Trybunał w powiększonym składzie zgodził się z twierdzeniami rządu Wlk. Brytanii, że gdyby założyć, że naruszenie praw jednostki może być zawsze tylko i wyłącznie „minimalne", to koncepcja marginesu oceny przestałaby właściwie istnieć, a władze obowiązane byłyby zawsze do znalezienia „złotego środka", idealnego rozwiązania godzącego sprzeczne interesy, i nie miałyby właściwie żadnego pola manewru w doborze takiego rozwiązania.

Teoretycznie rozumowanie to jest właściwe: albo ograniczenie może być tylko „minimalne", albo państwu przysługuje pewien margines decyzyjny w doborze stopnia, w jakim postanawia ograniczyć czyjeś prawa i wolności w imię ważnego celu społecznego. Trybunał orzekający w pierwszej instancji rozumował jednak w taki sposób: margines oceny istnieje tylko wtedy, gdy istnieje interes społeczny o większej „wadze" niż interes jednostki, której prawo ma być ograniczone. Wtedy właśnie władzom przysługuje pole manewru, gdzie mogą zdecydować, w jakim stopniu i zakresie ingerować w dane prawo jednostki – czy bardziej, w celu lepszego zabezpieczenia interesu społecznego, czy też słabiej, lub wręcz w stopniu „minimalnym". W pierwszej instancji Trybunał zdecydował, że interes ochrony życia prywatnego mieszkańców okolic lotniska przeważył nad interesem społecznym przejawiającym się w utrzymaniu intensywnych nocnych lotów samolotowych, stąd margines oceny w praktyce nie istniał i miało miejsce naruszenie art. 8 Konwencji.

W powiększonym składzie Trybunał uznał natomiast, że skomplikowane wybory polityczne przy podejmowaniu przez władze decyzji o charakterze społecznym lub ekonomicznym z samej natury wymagają przyznania szerszego pola manewru i Trybunał powinien to zawsze uwzględniać przy rozstrzyganiu spraw o takim charakterze. Dlatego też w efekcie uznał, że władze Wlk. Brytanii nie przekroczyły marginesu oceny, a środki podjęte dla ochrony praw jednostki były należyte. Zwrócił uwagę, że przed wpro-

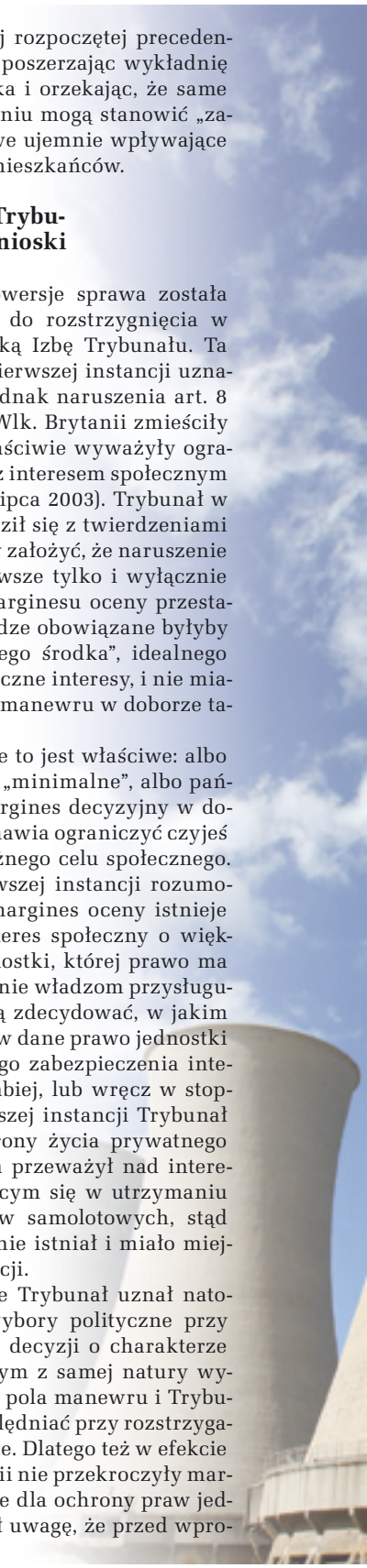

wadzeniem nowego rozkładu nocnych lotów miały miejsce konsultacje z okolicznymi mieszkańcami, że zapewniono im pewien udział w procesie decyzyjnym i że dostępna była droga administracyjna dla zaskarżania decyzji. Ponadto, rząd brytyjski zdołał wykazać, że ceny działek wokół lotniska nie spadły w związku ze zwiększoną intensywnością nocnych lotów, co teoretycznie pozwalało mieszkańcom wyprowadzić się bez ponoszenia większych kosztów. Trybunał uznał te środki za wystarczające dla zapewnienia fair balance między sprzecznymi interesami w sprawie. Odmiennie niż w sprawach Lopez Ostra i Guerra, gdzie przedmiotem skarg była głównie bezczynność władz, w sprawie Hatton państwo wykazało pewną aktywność, a skarżący powoływali się jedynie na niewystarczający charakter środków ochronnych podjętych przez państwo. Być może, teoretycznie, środki podjęte przez państwo mogłyby być jeszcze dalej idące w ochronie mieszkańców, ale Trybunał uznał za wystarczający taki a nie inny, suwerenny wybór brytyjskich władz, do którego były one uprawnione właśnie dzięki szerszemu marginesowi oceny.

Niejako na osłodę porażki dla skarżących, pomimo że nie stwierdził naruszenia art. 8, Trybunał dopatrzył się jednak naruszenia art. 13 Konwencji (prawo do skutecznego środka odwoławczego), z uwagi na to, że angielskie prawo nie dawało skarżącym należytej ochrony sądowej w postępowaniach o charakterze prywatnym przeciw operatorowi lotniska.

Jak dalece Konwencja chroni zatem nasze środowisko?

Najistotniejszą cechą prawa do ochrony środowiska gwarantowanego przez Konwencję jest to, że nie stanowi ono prawa do ochrony środowiska jako takiego, a zatem środowiska w sensie abstrakcyjnym. Ponieważ prawo do czystego środowiska zawarte jest w art. 8 Konwencji, dotyczącym ochrony życia prywatnego i rodzinnego, a sama Konwencja chroni prawa jednostki, a nie prawa kolektywne, warunkiem dla uznania, że doszło do naruszenia tego prawa w wyniku zanieczyszczenia środowiska jest istotny, ujemny wpływ zanieczyszczenia na życie prywatne lub rodzinne skarżącego (orz. Hatton /Wlk. Izba/, § 96). Jest to zatem indywidualne prawo do ochrony środowiska, albo raczej: prawo skarżącego do ochrony jego środowiska naturalnego.

Zanieczyszczenie środowiska należy przy tym rozumieć szeroko, jako każde pogorszenie stanu środowiska mające istotny wpływ na życie prywatne, a zatem: emisje szkodliwych gazów (orz. Guerra, a także Fadeyeva p/ko Rosji z 9 czerwca 2005 r.), przykrych oparów i zapachów (Lopez Ostra), uciążliwe hałasy i wibracje (Hatton), jak również "zanieczyszczenia" o charakterze niematerialnym czy potencjalnym, jak choćby uzasadnione obawy związane z bliskością groźnego dla środowiska zakładu (Guerra).

Art. 8 gwarantuje również pewne proceduralne elementy prawa do ochrony środowiska. Polega to na tym, że Trybunał w sprawach dotyczących środowiska kontroluje również, czy skarżący mieli efektywny dostęp do informacji pozwalających im oszacować stan środowiska naturalnego (nie pojętego abstrakcyjnie, ale dotyczącego życia prywatnego skarżących) i zagrożeń mogących mieć wpływ na to środowisko; czy zapewniony został w odpowiednim zakresie udział w procesach decyzyjnych dotyczących środowiska osób, których te decyzje dotyczą; i wreszcie, czy dostępna była droga administracyjna lub sądowa dla zaskarżania podejmowanych przez władze decyzji, lub dochodzenia ewentualnych odszkodowań (orz. Hatton /Wlk. Izba/, § 104). Trybunał wychodzi bowiem ze słusznego założenia, że efektywna ochrona życia prywatnego osób może mieć miejsce jedynie wtedy, gdy powyższe gwarancje proceduralne umożliwiają samym zainteresowanym zatroszczenie się w praktyce o stan swojego środowiska naturalnego.

Co bardzo istotne – należy zauważyć, że państwo może ponosić odpowiedzialność za naruszenia Konwencji również w przypadkach, gdy źródłem zanieczyszczenia jest podmiot prywatny (prywatna fabryka, lotnisko, itd.). W takiej sytuacji odpowiedzialność państwa na płaszczyźnie międzynarodowej ma charakter tzw. „ekologiczny" – państwo odpowiada bowiem za swoją ewentualną bezczynność lub niewystarczające działania w obliczu naruszeń praw jednostki dokonywanych de facto przez podmioty prywatne znajdujące się na jego terytorium. W praktyce nie ma zatem większej różnicy, czy zanieczyszcza fabryka państwowa, czy też znajdująca się w rękach prywatnych.

Warto jednak pamiętać, że w z natury kontrowersyjnych sprawach środowiskowych Trybunał zawsze będzie starał się nie ingerować zanadto w polityczne wybory państw i zawsze przyzna im szerszy margines oceny w doborze środków (legislacyjnych, administracyjnych, czy faktycznych), za pomocą których władze starają się zrównoważyć sprzeczne ze sobą interesy jednostki i społeczeństwa.

Dziedzina praw człowieka gwarantuje zatem jednostkom dosyć użyteczną materialną i proceduralną ochronę przed szkodliwymi lub uciążliwymi dla nich zanieczyszczeniami środowiska. Orzeczenia Trybunału stanowią też wskazówki dla władz państwowych, pomagając ustalić, jak interpretować przepisy krajowe dotyczące ochrony środowiska. W przyszłości, wraz z dalszym rozwojem wrażliwości społecznej na problem ochrony środowiska, należy spodziewać się stopniowego, dalszego rozszerzania przez Trybunał zakresu ochrony jednostek przed zanieczyszczeniami ich środowiska naturalnego.

Z uwagi na swój charakter, prawa człowieka nie są jednak dziedziną prawa skuteczną dla ochrony środowiska w ogólności. Prawa człowieka w swej istocie są prawami chroniącymi interesy jednostki, a nie całych społeczeństw – stąd ogólny problem zanieczyszczenia środowiska widziany przez pryzmat praw człowieka sprowadza się zawsze do indywidualnego, "prywatnego" wymiaru, dobrze widocznego w przytoczonym wcześniej orzecznictwie Trybunału. Prawa człowieka nie pomogą nam zatem zbytnio w walce ze zjawiskami takimi jak globalne ocieplenie czy zanieczyszczenia wód, jeśli zjawiska te nie mają bezpośredniego wpływu na nasze życie prywatne i w przypadku których ustalenie odpowiedzialności poszczególnych państw czy podmiotów prywatnych jest po prostu niewykonalne. Dla przeciwstawienia się szerszym, czy wręcz globalnym zagrożeniom dla ochrony środowiska, konieczne jest zatem przejawianie wrażliwości i aktywności prośrodowiskowej oraz wywieranie nacisku na rządy na rzecz wypracowania wiążących standardów ochrony środowiska na płaszczyźnie międzynarodowej. [ ]

Pawłowi M[1], za to, że zdjęciami zatrzymuje w miejscu czas, którego nie ma.

Dariusz Jan Babski
adwokat

Bunt

Przyznam, że wystąpienie zamieszczone we wrześniowym IN GREMIO, wystąpienie nadające ton temu numerowi, wystąpienie zatytułowane „OBŁUDA", poruszyło mnie. I to z kilku powodów.

Po pierwsze. Autor tego wystąpienia nie podpisał się. Dlaczego? Ja wiem. Bo wstydzi się swego nazwiska. Albo wstydzi się tego, co napisał. (Wstyd jest zawsze oznaką słabości.) Jeżeli się wstydzi nazwiska, to tak, jakby wstydził się swego zmarłego ojca, i jego ojca, i ojca jego ojca, i... (Hańba). Każdy powinien podpisywać wytwory swojej osobowości. Każdy, w tym i adwokat. A zwłaszcza adwokat. Ktoś, kto jest adwokatem, nie powinien wstydzić się swojego nazwiska. Nazwiska jego ojca, ojca jego ojca, ..., chyba że nazwisko to kojarzy się z twórcami czy też aparatczykami mrocznych dni, dni i nocy minionej opoki. (Wstydziłbym się nazywać Hitler, Stalin, czy też ... jakoś podobnie). Adwokat powinien być dumny ze swego nazwiska, nawet, gdyby, raz po raz, jego brzmienie wywoływało zdziwienie, uśmiech, czy też nawet śmiech. (Nazywam się Dariusz Jan Babski.[2]) Nawet, gdy pisze czy też mówi rzeczy, które mogą narazić go na ostrą krytykę. Nie ujawnienie nazwiska, jest przejawem tchórzostwa, które, w mojej ocenie, komu jak komu, ale adwokatowi, po prostu, nie przystoi. Brzydzę się anonimowością mędrców. Anonimowość autora paradoksalnie potęguje anonimowość tych, którzy odeszli nieznani z imienia i nazwiska. (Kto zna chociażby jedno nazwisko, jedno imię zmarłego górnika z Kopalni Halemba? Kto?)

Żeby było jasne, nie prowokuję Anonima do dekonspiracji swojej anonimowości. Chciałbym, żeby poczuł się źle za tchórzostwo, żeby w przyszłości nie pisał anonimów np. na mnie.

Po drugie. Nie dostrzegam w społecznej reakcji na tragedię czegoś, co anonimowy autor wystąpienia mianuje jako tytułową obłudę. Taka jest już kondycja natury ludzkiej, że dostrzega swą przemijalność i kruchość dopiero w obliczu tragedii. Nieszczęścia. Śmierci. Doświadczenia jej przez pryzmat bliskości czy też liczby. (Bodaj Wisława Szymborska pisała swego czasu, prowokująco, że „tysiąc i jeden, to wciąż jeszcze tysiąc, ten jeden, jakby go wcale nie było, płód urojony".) Do dzisiaj, na samą myśl, że śmierć poniosło tylu ludzi, w drodze z sanktuarium do domu, przechodzą mnie ciarki. Mój umysł nie jest w stanie żyć w obliczu permanentnego lęku i trwogi. (Być może dlatego pożądam witalne piękno w każdej postaci. No, może nie w każdej! Nie lubię świń. Są obmierzłe.)

Świadomość śmierci drugiego człowieka, a w szczególności grupy ludzi pozwala nam spojrzeć z dystansem na nasze codzienne troski w obliczu nieuchronności śmierci. Pozwala zadać pytanie, nie tyle dokąd, ale jak żyć?

Po trzecie. Anonimowy autor nie zadaje pytania, które wyszłoby poza opis krytykowanego stanu faktycznego. Anonim utyskuje nad społecznym (medialnym) relatywizmem umierania i śmierci człowieka. Jej medialności widzianej przez pryzmat zdarzenia pochłaniającego wiele istnień. (Czy ktoś wie, ile umiera w zaciszu gabinetów ginekologicznych nienarodzonych, a poczętych? Kto?) Anonimowy autor, nie zadaje naturalnego pytania: jak żyć w obliczu wszechotaczającej nas śmierci, bólu i cierpienia?

Czy w ogóle można cieszyć się życiem, kiedy ma się świadomość dwudziestowiecznego holokaustu, dwudziestopierwszowiecznego terroryzmu, kiedy ma się świadomość zagłodzonych i głodujących milionów istnień np. dzieci z afrykańskiego buszu, kiedy bogata Północ (Ty też do niej należysz, Ty też) wyrzuca nadmiary wyprodukowanej żywności itd., itd., a Ty nie możesz (?) temu zaradzić? Jak (a może ostrzej, czy:) żyć, kiedy jeden człekokształtny zabija drugiego człekokształtnego tylko dlatego, że ten drugi nosi mundur innego kraju? (W imię czego jeden człowiek zabija drugiego człowieka?) Jak powstrzymać nonsensowność śmierci? Nonsensowność umierania? (Ja wiem. Ja wiem. Ale, nie powiem. Nie powiem.)

Zwolna nie znajduję argumentów, aby móc żyć. Żyć beztrosko. W radości. Z uśmiechem na ustach. (Nie znaczy to, abym nawoływał do śmierci. Kocham życie.) Wszystko przemija. Nasze, moje życie też przemija. (Od 42 lat) Od jednej troski ku drugiej. (Czy ktoś zbadał, ile czasu żyjemy bez jakichkolwiek trosk?) Od jednej apelacji do kasacji. Od uniewinnienia do dożywocia. Od chrzcin przez wesela ku pogrzebom. Jednego, drugiego... Na przemian. On, ona, oni, aż wreszcie Ty, aż wreszcie... ja. (Co za piękny wyraz). Aż wreszcie my. My wszyscy. Odejdziemy.

Życie zapętla się. Prze (!) od poczęcia ku nieuchronnej śmierci. A mimo to, tylko żyjąc mogę zamanifestować swój bunt przeciwko śmierci. (Gdy nadejdzie, to mnie już nie będzie!).

Chociaż kto wie, czy nie bezrefleksyjność życia pozwala je przebyć w miarę znośnie? Kto wie? [ ]

1) Nie podaję nazwiska, gdyż nie wiem, czy chciałby, abym je ujawnił; 2) Nie będę pisał, aby nie drażnić, o etymologii imion, które zostały mi nadane. Nie będę pisał o pochodzeniu swojego nazwiska.

Prawda Ruska

Ubogie zasoby biblioteczne, brak źródeł i opracowań książkowych, lakoniczność wzmianek i komentarzy, zawartych w nielicznych publikacjach literatury fachowej... Na te trudności natkniemy się w polskich placówkach naukowych, jeśli przedmiotem naszych badań miałoby się stać prawodawstwo rosyjskie. Świadczy to o niewielkim zainteresowaniu polskiej nauki problemami prawa rosyjskiego, którego znajomość mogłyby znacznie ułatwić skomplikowane dziś relacje rosyjsko-polskie. Studia nad prawem rosyjskim wydają się wręcz konieczną przesłanką zrozumienia samej Rosji. Poznając rozwój tego prawa powinniśmy jednak sięgnąć do tradycji wcześniejszej, rozwijającej się na ziemiach wczesnofeudalnej Rusi. Jednym z pierwszych zbiorów prawa ruskiego stała się tak zwana „Prawda Ruska" *(Russkaja Prawda)*. W kazuistycznych przepisach tego aktu zawartych zostało wiele szczegółowych informacji, które dają nam dziś dość wierne odzwierciedlenie życia społecznego Rusi średniowiecznej. W treści poszczególnych fragmentów „Prawdy Ruskiej" zauważyć też można silne wpływy kultury bizantyjskiej. W odróżnieniu od Europy Zachodniej, korzenie Rosji sięgają do tradycji wschodnio-rzymskiej, pozostającej pod przemożnym wpływem (pogańskiej i chrześcijańskiej) kultury greckiej. Wpływy te do dziś widoczne są zarówno w świeckim, jak i religijnym życiu Rosjan. Do dziś stanowią one istotny element, charakterystyczny dla tzw. rosyjskiej mentalności.

Początki rozwoju prawa w krajach Europy Zachodniej i Wschodniej były do siebie podobne. Wszędzie pierwszym źródłem norm prawnych okazywał się zwyczaj. W pochodzącej z początku XII w. staroruskiej „Powieści minionych lat" *(Powiest' wriemiennych liet)* czytamy, iż ruskie plemiona korzystały „z obyczajów swoich i praw ojców swoich". O ile jednak plemiona germańskie, osiadłe na terenach podległych wcześniej starożytnemu Imperium Romanum, czerpały z ducha prawa rzymskiego i ułatwiony miały dostęp do jego źródeł, o tyle tereny zamieszkałe przez wschodnich Słowian okazały się pod tym względem znacznie uboższe. Plemiona ruskie musiały zatem same poszukiwać drogi do własnych instytucji i prawnych regulacji życia społecznego. Dopiero w końcu X w. - po chrzcie Rusi Kijowskiej (988) i zawarciu przez nią pierwszych umów handlowych z Bizancjum - prawo rzymskie stało się dostępne dla Rusinów.

Opinie uczonych dotyczące pochodzenia „Prawdy Ruskiej" są podzielone. Jedni uważają, iż ten stary zbiór praw nie miał charakteru obowiązującego aktu prawnego, a zatem nie mógł stać się pomnikiem ruskiego prawodawstwa. Zwolennicy tego poglądu twierdzą, że „Prawda Ruska" nie była aktem woli określonego prawodawcy, lecz „prywatnym" spisem praw, sporządzonym dla „potrzeb własnych" przez jednego bądź kilku znawców prawa staroruskiego. Inni badacze traktują „Prawdę Ruską" jako oficjalny kodeks - owoc ruskiej mądrości prawa, wsparty autorytetem ówczesnej władzy prawodawczej. Często podnoszony jest przy tym zarzut, że w toku dziejów oryginał „Prawdy Ruskiej" zepsuty został przez licznych kopistów. Dziś znanych jest wiele różnych redakcji tego kodeksu, zróżnicowanych pod względem objętości, struktury i treści zawartych w nim artykułów.

Liczne źródła potwierdzają, iż twórcą „Prawdy Ruskiej" w jej pierwszej redakcji był Jarosław Mądry (...). Jego synowie mieli następnie uzupełniać dzieło ojca o dalsze przepisy. Początkowo zbiór prawa ruskiego nie stanowił jednolitego dokumentu, lecz występował w kilku fragmentach. Pozostawały one pod silnym wpływem - i traktowane były zrazu jako uzupełnienie - prawa cerkiewno-bizantyjskiego, spisanego po 988 r. w kodeksie nazywanym „Nomokanon". Rzeczywiście w treści przepisów „Prawdy Ruskiej" widać, iż nie dotyczyły one sfery sądownictwa książęcego, lecz sądownictwa cerkiewnego. Stąd, brakuje wśród nich przepisów regulujących odpowiedzialność za przestępstwa polityczne, leżące poza sferą zainteresowań Cerkwi. Pominięte zostały również kazusy unormowane w „Nomokanonie", jak np. słowne naruszenie czyjegoś dobrego imienia. Zapewne pod wpływem Cerkwi pozostawały również te przepisy „Prawdy Ruskiej", które zakazywały pojedynków przed sądem. Wydaje się, iż w tej kwestii prawo ruskie wyprzedzało tradycję prawa zachodnio i środkowoeuropejskiego, gdzie dopiero w późnym średniowieczu Kościół Katolicki zajął stanowisko jednoznacznie przeciwne pojedynkom.

W tym miejscu warto jednak przypomnieć, że do połowy XI w., sędziowie książęcy nie potrzebowali w zasadzie prawa spisanego. Stare prawo zwyczajowe było bowiem dość mocno zakorzenione w świadomości książąt i występujących w ich imieniu sędziów. Poza tym, w ówczesnym procesie sądowym obowiązywała tzw. zasada konkurencyjności (pria). Zgodnie z nią, w sprawie, w której sędzia nie mógłby lub nie chciał przypomnieć sobie jakiegoś obowiązującego zwyczaju, strony procesu mogły same powołać się na odpowiednią normę zwyczajową. Praktyka ta często prowadziła do sytuacji, w której strony w zasadzie same prowadziły postępowanie procesowe, sędzia zaś pełnił funkcję niezaangażowanego przewodniczącego i obserwatora. Wreszcie sam książę mógł zawsze przypomnieć sędziemu o obowiązywaniu określonego zwyczaju lub osobiście wkroczyć w toczący się proces i samemu wydać wyrok w sprawie.

Jeśli sędziowie książęcy do połowy XI w. nie potrzebowali prawa spisanego, to sytuacja sędziów cerkiewnych była zupełnie odmienna. Po chrzcie Rusi, w ramach sądownictwa cerkiewnego ukształtowały się jakby dwa rodzaje procesu, oparte na dwóch różnych rodzajach prawa materialnego. Z jednej strony sądom

cerkiewnym podlegali wszyscy Chrześcijanie - duchowni i świeccy - w sprawach o charakterze duchowo-moralnym. Z drugiej strony sądy te zajmowały się sprawami z zakresu życia wewnętrznego wspólnoty cerkiewnej oraz sprawami nie-cerkiewnymi - cywilnymi i karnymi. Sprawy dotyczące sfery duchowej, prowadzone były na podstawie wspomnianego wyżej „Nomokanonu" i ustaw cerkiewnych, wydawanych przez pierwszych chrześcijańskich książąt Rusi. Sprawy nie-cerkiewne - cywilne i karne, obejmowały nie wszystkich Chrześcijan lecz tylko wyznawców prawosławia, i miały być prowadzone według prawa miejscowego. Stąd wynikała konieczność spisania prawa obowiązującego na danym obszarze. Z tych właśnie powodów doszło do spisania prawa w ramach „Prawdy Ruskiej". Potrzeba takiego zbioru praw wynikała również stąd, że pierwsi sędziowie cerkiewni na Rusi nie byli Rusinami. Najczęściej pochodzili oni z Grecji lub z krajów zamieszkałych przez południowych Słowian i ruskie prawo zwyczajowe było im po prostu nieznane. Zbiory praw miejscowych miały również służyć jako instrument przystosowywania niektórych obyczajów lokalnych do moralnych i prawnych reguł wschodniego chrześcijaństwa, rozwijającego się w duchu bizantyjskim. Stąd, w przepisach „Prawdy Ruskiej" odnajdujemy terminy typowe dla prawa bizantyjskiego i południowosłowiańskiego. Już sam jej wygląd zewnętrzny nawiązuje do kodeksów bizantyjskich, takich jak „Procheiron"[1] czy „Ekloga"[2].

Do dziś zachowało się ponad sto odpisów „Prawdy Ruskiej". Występują one w trzech różnych redakcjach: krótkiej, obszernej i skróconej. Najstarszą z nich jest tzw. „Krótka Prawda". W jej skład wchodzą: „Prawda Jarosława", obejmująca spis prawa zwyczajowego, sięgającego IX wieku oraz ustawy Jarosława Mądrego (art. 1-18), „Prawda Jarosławowiczów", powstała po 1054 r. i obejmująca normy prawa zwyczajowego, orzecznictwo sądowe oraz przepisy wydane przez trzech synów Jarosława: Izasława, Światosława i Wiaczesława (art.19-41), Pokon wirny (zwyczaje o daninach), wydany w latach 1020-1030 i regulujący pobór danin oraz nakazujący dobre traktowanie książęcych poborców podatkowych (art.42) oraz Urok mostnikam (tzw. lekcja dla budowniczych mostów), wydany również w latach 1020-1030 i regulujący opłaty za wybudowanie mostu (art.43). „Obszerna Prawda" powstała nie wcześniej, niż w roku 1113, i wiąże się przede wszystkim z osobą Włodzimierza Monomacha (...). Jej części składowe stanowią: „Sąd Jarosława", będący uzupełnioną i poprawioną wersją „Krótkiej Prawdy" (art. 1-52) oraz pochodzący z lat 1113-1125 „Statut Włodzimierza Monomacha", zawierający zbiór przepisów, wydanych w XI w. przez książąt kijowskich i ustawy z czasów samego Monomacha (art. 53-121). „Skrócona Prawda" pojawiła się w połowie XV wieku jako przeredagowana i skrócona wersja „Obszernej Prawdy".

W swej treści „Prawda Ruska" przypomina kodeks prawa prywatnego z dodatkiem przepisów z zakresu prawa karnego. Występujące w niej podmioty możemy traktować jako osoby fizyczne, chociaż w owych czasach pojęcia osoby fizycznej jeszcze nie znano. „Prawda" nie znała też wielu innych pojęć abstrakcyjnych, takich jak: własność, posiadanie czy przestępstwo. Podobnie, jak inne europejskie zbiory praw, „Prawda Ruska" miała charakter kazuistyczny. Obejmowała pojedyncze kazusy z życia codziennego, bez określania ogólnych zasad i instytucji prawa. Normy zawarte w „Prawdzie" chronią jednak własność prywatną (zarówno własność rzeczy ruchomych jak i nieruchomości), określają porządek spadkobrania, nakazują dotrzymywania umów i wywiązywania się z przyjętych na siebie zobowiązań. Ciekawe, że prawo spisane w „Prawdzie Ruskiej" przewidywało surowsze kary za czyny skierowana przeciw własności, niż przeciw bezpieczeństwu osobistemu. Za uchylanie się od wykonania określonych zobowiązań groziła zarówno odpowiedzialność majątkowa jak i kara pozbawienia wolności. Do zawarcia umowy „Prawda" wymagała formy ustnej, przy czym wymagana była obecność świadków. Wspomina się tu o umowach

1) Procheiron (od grec. prócheiros – znajdujący się pod ręką) - zbiór norm bizantyjskiego prawa cywilnego, karnego, sądowego i cerkiewnego. Powstał w 879 r. na rozkaz cesarza Bazyla I Macedończyka. Procheiron nie był oficjalnym zbiorem praw, lecz pełnił funkcję swego rodzaju przewodnika dla sędziów;
2) Ekloga – kodeks bizantyjskiego prawa, wydany w 726 r. przez cesarza Leon III Izauryjczyk.

kupna-sprzedaży, umowach pożyczki, umowach kredytowych, umowach najmu osobowego oraz o umowach przechowania. Istotny przy tym wydaje się fakt, iż przedmiotem umowy kupna-sprzedaży mogły być zarówno rzeczy, jak i ludzie.

Uwagę naszą zwraca również to, że przestępstwa przeciwko osobom nie były odróżniane od przestępstw przeciwko mieniu. W „Prawdzie Ruskiej" odnajdujemy już jednak zagrożony karą zakaz przekraczania granic obrony koniecznej. Przypadek taki występował, gdy np. złapanego na gorącym uczynku włamywacza zabijano po dłuższym przetrzymaniu. W dawnym prawie ruskim znane było też pojęcie recydywy. Pojawia się ono w odniesieniu do koniokradztwa. Nie wspomina się natomiast o granicy wiekowej, określającej zdolność do odpowiedzialności karnej. Rozróżniano wprawdzie przestępstwo umyślne i „nieostrożne", jednak ogólnego pojęcia winy jeszcze nie stosowano. „Prawda Ruska" dość często odwołuje się do instrumentu pieniądza. na nim opierał się w zasadzie cały system kar. Lichwa była dozwolona i akceptowana przez Cerkiew, choć w granicach „miłosierdzia". Wysokość rocznego oprocentowania kredytów mogła sięgać nawet 80%. Tak duże znaczenie pieniądza wskazuje na promieszczańską tendencję prawa spisanego w „Prawdzie Ruskiej". Szkoda, że wątek ten nie rozwinął się silniej w dziejach prawa rosyjskiego. W każdym razie głównym adresatem „Prawdy" było kupieckie mieszczaństwo. Wieś pozostaje tu na dalszym planie. Stanowi chłopskiemu poświecono zaledwie kilka krótkich artykułów o własności wiejskiej, obecnych w późniejszych redakcjach kodeksu.

Prawda Ruska nie była tworem prawodawstwa książęcego, ale nie pozostała tylko prywatnym zbiorem praw. Z czasem osiągnęła ona status prawa powszechnie obowiązującego dla tej części społeczeństwa ruskiego, która w sprawach stricte karnych i cywilnych podlegała jurysdykcji cerkiewnej. Konsekwentne wyłączenie spraw politycznych powodowało, iż „Prawda Ruska" łatwo uzyskała akceptację ruskich książąt. Pojawienie się chrześcijaństwa, z „obcym" na Rusi prawem cerkiewnym i bizantyjskim wprowadzało „zamęt" w miejscowym prawie zwyczajowym. Zwyczaj nie wystarczał jednak w czasach coraz bardziej skomplikowanych problemów życia codziennego. „Prawda Ruska" wypełniała tę lukę. Ostatecznie pozostała ona jednak raczej pomnikiem staroruskiej tradycji kodyfikacyjnej, niż pomnikiem staroruskiego prawodawstwa. Przemawia za tym również fakt, że późniejsze pomniki państwowego i cerkiewnego prawa nigdy nie powoływały się na to dzieło. [ ]

Stanislav Shipovskiy *(student II roku prawa na WPiA US), pod kierunkiem redakcyjnym dra Daniela Bogacza z Katedry Prawa Rzymskiego i Historii Doktryn Polityczno-Prawnych WPiA US*

Z wiatrem

czyli V Regaty o Puchar Dziekana Okręgowej

W pierwszy weekend września, już po raz piąty, na mazurskim jeziorze Niegocin, odbyły się Regaty o Puchar Dziekana Okręgowej Izby Radców Prawnych w Warszawie. Okręgową Izbę Radców Prawnych w Szczecinie reprezentował nasz „Sailing Team" w składzie: Artur Pomorski (sternik), Rafał Malujda, Zbigniew Madaliński oraz Radosław Włodarczyk. Drugiej załodze ze Szczecina przewodził jako sternik r. pr. Paweł Mickiewicz. O główne trofeum konkurowały dwadzieścia dwie załogi z różnych miast Polski.

W sobotni, pochmurny i wietrzny poranek, rozpoczynający się dość wcześnie po piątkowym ognisku integracyjnym, zawody uroczyście otworzył Wicedziekan Rady Izby Warszawskiej, r. pr. Robert Kamionowski, życząc wszystkim pomyślnych wiatrów i prawdziwie sportowej rywalizacji. Spośród jachtów typu Sasanka 660, na których rozgrywany był wyścig, wylosowaliśmy jednostkę z numerem 3 i po krótkiej

Radosław Włodarczyk –
aplikant radcowski przy OIRP w Szczecinie,
Marek Czernis – Kancelaria Radcy Prawnego, Szczecin

i pod wiatr...

Izby Radców Prawnych w Warszawie „Giżycko 2007”

odprawie sterników wyruszyliśmy na wodę. Regaty odbywały się w systemie 6 wyścigów typu – jak to określają profesjonalne wilki morskie - „dwa śledzie” (4 w sobotę i 2 w niedzielę) rozgrywanych pod czujnym okiem komisji sędziowskiej przebywającej na motorówce zakotwiczonej po prawej stronie od linii startu. Każda z czteroosobowych załóg miała za zadanie przemierzyć w jak najlepszym czasie dwa okrążenia (czyli rzeczone „dwa śledzie”) i zostać „oddzwoniona” na mecie.

Dwa dni wyścigów dostarczyły uczestnikom dużej dawki adrenaliny, gdyż walka była do samego końca zacięta. Wszystkie załogi szczęśliwie ukończyły swój bieg i mimo że nie obyło się bez drobnych kolizji, to podczas Regat królowała atmosfera twardej walki fair play. Pierwszego dnia zawodów zajęliśmy trzy drugie miejsca i jedno trzecie miejsce, natomiast w niedzielę udało nam się wygrać oba wyścigi i w klasyfikacji generalnej zająć drugie miejsce, ustępując zwycięzcom tylko jednym punktem. Zwycięstwo zdobyła załoga z Warszawy.

Sama impreza była bardzo dobrze przygotowana i w tym zakresie należą się słowa uznania Okręgowej Izbie Radców Prawnych w Warszawie za poczynione wysiłki, których efektem były dwa dni wspaniałych Regat. Organizatorzy nie zapomnieli również o „socjalnym” wymiarze imprezy, i poza wspomnianym ognisku integracyjnym, w sobotni wieczór odbył się Bal Kapitański, na którym Żeglarze mieli możliwość wspólnej dyskusji nad minionymi wyścigami, a także zabawy w rytm muzyki szantowej.

Regaty szybko dobiegły końca, jednakże mamy nadzieję, że uda nam się wziąć w nich udział już za rok. Jest to bowiem dobra okazja nie tylko do sportowej rywalizacji w miłym towarzystwie, lecz również daje możliwość niecodziennego spędzenia czasu. [ ]

Deszczowa

Nasze tegoroczne przygotowania do XVIII Ogólnopolskiej Letniej Spartakiady Prawników Katowice 2007 upłynęły pod znakiem coraz to nowych wiadomości o tym, którzy z naszych stałych bywalców spartakiad na Śląsk nie pojadą. A to zrezygnowali piłkarze sądowego „Paragrafu", to znów wycofało się kilku pływaków z sędzią Jarosławem Łazarskim na czele, a wreszcie na skutek kontuzji nie mogła z nami pojechać adwokat Łucja Pożoga. Mimo wszystko zamierzaliśmy pokazać, że i w takich warunkach potrafimy...

Gdy 5 września rano opuszczaliśmy słoneczny Szczecin nie spodziewaliśmy się powitania, jakie sprawiła nam stolica Górnego Śląska. Gdy tylko dotarliśmy do Katowic, zaczął padać deszcz i tak padał bez ustanku... trzy dni. Do tego raptem 12 stopni na termometrze, więc nawet pogoda się na nas uwzięła. Zaczęliśmy jednak ostro i tak już miało być do końca.

W zawodach lekkiej atletyki wystartowali najwytrwalsi, zaś prym wiódł pracownik NIK w Szczecinie Wiesław Chabraszewski, który w grupie powyżej 35 lat każdy swój start zamieniał w złoto. Pokonał wszystkich rywali w biegach na 100 i 400 m, wygrał też skok w dal. Równie mocno wystartowała radca prawny Małgorzata Rudnik, która w młodszej grupie wygrała bieg na 60 m, była druga w skoku w dal oraz w biegu przełajowym na 2,5 km, dokładając brąz w rywalizacji na 400 m, gdzie czwarte miejsce zajęła referendarz sądowy Magdalena Dorociak. Ta ostatnia była też trzecia w przełaju. Obie zaś wspólnie z koleżankami z Tarnobrzega zajęły drugie miejsce w przeciąganiu liny. Dwa srebrne medale w biegach na 100 i 400 m zdobył sędzia Radosław Bielecki, zaś ukoronowaniem biegania w deszczu i chłodzie była sztafeta 4x100 m drużyn mieszanych, konkurencja rozgrywana na spartakiadach po raz czwarty i tyle też razy wygrana przez szczecińską ekipę, tym razem biegnącą w składzie Chabraszewski/Rudnik/asesor sądowy Urszula Persak/Bielecki. Dość napisać, iż druga na mecie drużyna straciła do zwycięzców ponad 4 sekundy. Tradycja zobowiązuje...

Ledwo zdążyliśmy nieco ogrzać się przy obiedzie, a już spartakiada rozkręciła się na całego. W grach zespołowych najsilniejsi wydawali się koszykarze, którzy nareszcie przyjechali w pełnym składzie i w każdym kolejnym meczu pokazywali, że interesuje ich tylko złoto. W grupie wręcz zdemolowali mistrzów z zeszłego roku – drużynę Wielkopolski, nie dali też szans pozostałym rywalom i pewnie awansowali do półfinału.

spartakiada

Obie ekipy siatkarskie tym razem wystąpiły w roli uczniów, jednak na usprawiedliwienie naszych Pań należy wspomnieć, iż zagrały w mocno eksperymentalnym składzie, zaś Panowie polegli z późniejszymi mistrzami ze Śląska, by już w meczu z Krakowem stawić dużo większy opór. Nawet porażki nie zniechęciły jednak obu ekip i już zapowiedziały one kontynuowanie treningów, a męska drużyna zamierza nawet wystartować w amatorskich rozgrywkach w Szczecinie.

Wspomnieć wypada, z kilku powodów, o piłkarzach. Po pierwsze w zawodach wystąpiła tylko jedna, za to łącząca aż cztery korporacje, drużyna – dwóch radców, aplikant radcowski, adwokat, prokurator, sędzia i pracownik NIK. Po drugie, jeśli ktoś pamięta „mecz na wodzie" Polska – Niemcy na mundialu w 1974 r., to tym razem warunki do gry były dużo gorsze. Boisko wyglądało jak bajorko, więc nie było dużej przesady w żądaniach kierowanych do sędziów, by przed wejściem na "murawę" sprawdzali... karty pływackie zawodników. W każdym razie w zawodach piłki nożno – wodnej radziliśmy sobie nieźle, zremisowaliśmy z Poznaniem, mistrzem z zeszłego roku oraz Gdańskiem, a także pokonaliśmy Zamość, jednak nie daliśmy rady Tarnobrzegowi, by po rzutach karnych przegranych z Przemyślem, zająć szóste miejsce.

Sporo interesujących wiadomości nadchodziło z innych aren spartakiady. W zawodach brydża sportowego para adwokatów: Bartłomiej Sochański i Piotr Dobrołowicz zajęła drugie miejsce, a wśród szachistów oczko niżej uplasował się adwokat Dariusz J. Babski. Świetny występ w tenisie stołowym zaliczyła sędzia Agnieszka Bobrowska, która w parze z koleżanką z Gdańska nie dała szans rywalkom w grze deblowej, indywidualnie zajmując zaś piąte miejsce. Bardzo dobrze w zawodach wspinaczkowych radził sobie sędzia Marcin Jędrzejewski, ostatecznie plasując się na drugim miejscu.

Tradycyjnie Szczecin jest silnym ośrodkiem badmintona i również w tym roku udało się z „paletek" wyrwać kilka medali. Choć po cichu liczyliśmy na złoto w konkurencji mężczyzn w młodszej grupie, to srebro adwokata Marcina Kładnego i brąz Piotra Dobrołowicza uznaliśmy za sukces, podobnie jak trzecie miejsce Małgorzaty Rudnik. Później nasi podobierali się w pary, co skończyło się medalami w deblu i mikście. Debel Rudnik/asesor sądowy Katarzyna Grodź po pięknej walce zdobył srebrny medal, zaś mikst Rudnik/Kładny stanął na najniższym stopniu podium. Niewiele zabrakło do tego parze Kładny/Dobro-

łowicz, jednak mecz o trzecie miejsce oddać musieli walkowerem, gdyż drugi z nich popędził na skocznię, gdzie w sobotę warunki pogodowe pozwoliły na rozegranie skoku wzwyż. A o tym, jak mecenas Dobrołowicz przegrał złoty medal można by długo opowiadać, dość wspomnieć, że mimo, iż jako jedyny przeskoczył 165 cm, zajął drugie miejsce, gdyż wstając po skoku zahaczył nogą o stojak i... strącił poprzeczkę. Podobno więcej tego nie powtórzy...

Przed zawodami pływackimi, w których zawsze zdobywaliśmy sporo medali, do ekipy dołączył wicedziekan OIRP w Szczecinie Piotr Marcinkowski oraz adwokat Jarosław Kryński, którzy zabrali się ostro do pracy. Pierwszy wygrał rywalizację na 50 i 100 m stylem klasycznym, drugi „wyłowił" srebro na 200 m stylem dowolnym, a na dystansie o połowę krótszym brąz przypadł Marcinowi Kładnemu. Świetnie radził sobie w starszej grupie wiekowej mecenas Sochański, zdobywca złotych medali na 50 m motylkiem, 100 i 200 m dowolnym oraz srebra na 50 m kraulem. Nie sposób też zapomnieć o naszej jedynaczce wśród Pań, bowiem Magdalena Dorociak wygrała wyścig na 100 m żabką, by na dystansie o połowę krótszym zająć trzecie miejsce. Na koniec Panowie potwierdzili, iż sztafety to zdecydowanie szczecińska specjalność, bowiem na dystansie 4x50 m stylem dowolnym bezkonkurencyjni byli Marcinkowski/Dobrołowicz/Kładny/Kryński.

Okazało się również, iż bardzo celne oko mają nasi młodzi sędziowie, bowiem w konkurencji strzelania srebrny medal wywalczył asesor Ryszard Rutkowski, a minimalnie za nim, na trzeciej pozycji znalazł się asesor Krystian Kwolek.

Bez wątpienia zachodniopomorską ekipę wzmocnił też zaciąg stargardzko – choszczeński, bowiem asesor sądowy Tomasz Klimczak, aplikanci komorniczy Krzysztof Krzynowek i Paweł Brzeziński–Świątek, wspomagani przez Piotra Marcinkowskiego byli poza konkurencją na kręgielni, zdobywając złoty medal.

I tak dotarliśmy do sobotniego popołudnia, do decydujących meczów koszykarzy. Najpierw w półfinale

zdjęcia: Paweł Marycz

zmierzyliśmy się z gospodarzami. Emocje trwały do samego końca, ale niesieni dopingiem licznej grupy kibiców i dzięki świetnej grze Szymona Osowskiego awansowaliśmy do finału, gdzie czekała już ekipa z Małopolski. Również ta – najważniejsza - przeszkoda została wzięta (wynik 42:34), a potem było już tylko świętowanie... w górę poleciał kapitan zespołu adwokat Marcin Stopa, który po wielu latach starań nareszcie wzniósł puchar za pierwsze miejsce, zaś na balu podsumowującym spartakiadę znalazł się szampan dla zwycięzców, jak i nie wiadomo skąd, siatka z jednego z koszy... Skład ekipy: Marcin Stopa, Piotr Dobrołowicz, prokurator Bartłomiej Przyłucki, niezrzeszeni Szymon Osowski i Adam Jażdżewski, aplikanci adwokaccy Robert Majchrzak i Krzysztof Ławrynowicz, aplikant radcowski Grzegorz Wesołowski, Marcin Kładny oraz Radosław Bielecki.

W sumie zdobyliśmy 38 medali. Najwięcej, aż dziewięć Małgorzata Rudnik. Do tego Wiesław Chabraszewski został najlepszym zawodnikiem wśród pracowników administracji publicznej, zaś Radosław Bielecki wśród sędziów. Klasyfikacji województw nie podano, ale nieoficjalnie wiemy, że załapaliśmy się na najniższy stopień podium, co biorąc pod uwagę skromną liczbę naszych reprezentantów i nieobecność wielu dotychczasowych liderów ekipy, uznać można za sukces.

A na koniec wspomnieć należałoby o atrakcjach, jakie zafundowali nam organizatorzy. Bez wątpienia były nimi wycieczki do Browarów Tyskich oraz kopalni, ale pozwolić sobie na nie mogli tylko ci nieco mniej zaangażowani w część sportową, natomiast inne imprezy – dyskoteka, biesiada śląska i bal nie powaliły. Tym niemniej potrafiliśmy dać sobie radę, gdyż odkryliśmy w naszym akademiku sympatyczny klub „Olimp", którego nie omieszkaliśmy zdominować. Tradycyjnie szczecinianie okazali się tu najlepszą ekipą, bawili się in gremio, a przy tym miło i niemal do samego rana. Zatem pozostaje nam tylko czekać na kolejny wrzesień i tym razem szykować się do najazdu na Olsztyn. [ ]

Sędzia Sądu Rejonowego w Szczecinie
Radosław Bielecki

dr n. med. Ewa Kramarz,
specjalista psychiatra, biegła sądowa

Powroty

Kilka lat temu, z inicjatywy grupy młodzieży lat 60-ych odbył się w Szczecinie reunion (ang., fr.)czyli zjazd, ponowne spotkanie, złączenie, połączenie. Zjazd osób, które opuściły kraj w latach 1968-69. W pierwszym tygodniu lipca bieżącego roku spotkanie powtórzono. Przyjechały osoby w różnym wieku, z różnych stron świata. Wędrowały po dzielnicy, w której mieszkały, odwiedzały szkołę podstawową, w której uczyły się, próbowały z różnym skutkiem zobaczyć wnętrza swoich ówczesnych domów. Odwiedzały szkoły średnie, uczelnie, miejsca pracy, pochówku. Zachwycały się miastem, zamkiem, zaopatrzeniem sklepów, obecnością supermarketów, mieszkańcami. Jedna z uczestniczek zademonstrowała swoją wystawę malarstwa. W czasie wieczornych spotkań śpiewano przeboje młodości, królowali Trubadurzy", „Następcy tronów" i ci wszyscy, którzy kreowali modę i styl muzyczny w minionych latach. Lokalna prasa poświęciła spotkaniu kilka ciepłych słów, głównie opisując aktualne losy ówczesnej młodzieży, reakcje ich dzieci, wnuków na naszą rzeczywistość. Wszyscy byli wzruszeni, deklarowali, że jeszcze kiedyś przyjadą. I odjechali.

Mechanizmy obronne, jakie uczestnicy reunionu uruchamiali - były niezwykłe. Pogodni, beztroscy - ukrywali smutek i żal. Nostalgiczni, przeżywający to, co im przed laty zgotowano.

„Bracia starsi w wierze" nigdy nie byli w naszym kraju mile widziani. Mieliśmy do nich pretensje o to, że są, że bywają zamożni, operatywni, inteligentni, sprytni. Dlatego zawsze byli wszystkiemu winni. Oni, masoni i cykliści. W pewnych środowiskach postawy te istnieją nadal.

W latach 60-ych studiowaliśmy. Pamiętamy wydarzenia marcowe 1968 r. oraz wystąpienie ówczesnego politycznego idola, nawołującego do czystek narodowościowych. Wódz jednoznacznie stwierdzał, co „bracia" winni uczynić. Otwarcie namawiał ich do tego. Podkreślał przy tym, że są winni większości nieszczęść w ojczyźnie. Bez nich będziemy żyli dostatnio i radośnie. Dalsze lata, rok 1970, 1976 i 1981 utwierdziły nas w przekonaniu, że przywódca miał rację. Przysłowiowe bony, talony, dessousy na kartki i ocet na półkach to takie malownicze psikusy w dobrobycie.

W szkole średniej, na studiach była wśród nas pokaźna grupa ludzi młodych, wzbudzających szczególne emocje u towarzysza G. Mimo to zawiązywały się między nimi a nami przyjaźnie, pojawiały się uczucia, perspektywy związków małżeńskich. Tworzyliśmy z nimi nierzadko fantastyczne grupy, przeżywaliśmy wzruszające chwile, wspólnie jeździliśmy na tzw.wykopki, po cichu paliliśmy papierosy, chodziliśmy na randki itd. Nikt nie przypuszczał, że praktyki studenckie - w pożal się Boże - Magdeburgu są tylko dla dzieci polskich robotników i chłopów a nie dla innych, chociaż świetnie uczących się. Nikt nie podejrzewał,że wśród osób studiujących nasi koledzy, poza działalnością naukową szukali i rozpracowywali wśród nas i wśród nich ideologicznego wroga. Bezowocne okazały się poszukiwania owych „rozpracowujących" na wystawie zamkowej pt. „Twarze szczecińskiej bezpieki".

Studiowaliśmy beztrosko ale od marca 1968 r. weszliśmy w okres stresu związanego z częstymi pobytami na dworcu PKP i żegnaniem kolegów odjeżdżających najczęściej via Warszawa do Wiednia. Przedtem uczestniczyliśmy w pakowaniu życiowego dobytku znajomych i przyjaciół łącznie ze szczotką do WC i pumeksem. Bo tam mogło tego nie być.

Ci, z którymi byliśmy zaprzyjaźnieni nagle stawali się duchowo i fizycznie nieobecni. Wyjeżdżając przeżywali tzw. ostrą reakcję na stres. „Life events" (ang.) czyli wydarzenie życiowe, jakim było opuszczenie domu rodzinnego, miejsca, w którym dana osoba urodziła się, spędziła dzieciństwo, okres szkolny, studencki, nawet początkowo zawodowy, powodowało stan „oszołomienia" ze zwężeniem strumienia świadomości, zawężeniem uwagi, niemożnością rozumienia bodźców. Z czasem, po przekroczeniu granicy państwowej z biletem w jedną stronę, pojawiały się zaburzenia stresowe pourazowe z lękiem, obniżonym nastrojem, bezsennością, natrętnymi wspomnieniami z okresu wyjazdu, z anhedonią czyli nieumiejętnością rozpogodzenia się i strachem przed nieznanym. I pytaniem, dlaczego musieliśmy opuścić kraj naszego dzieciństwa,młodości, kraj, którego byliśmy obywatelami.

Koledzy i koleżanki znaleźli się w różnych miejscach na świecie, ale bez względu na to, czy trafili do Izraela, krajów skandynawskich, czy do Oregonu-wszyscy przeżywali głębokie zaburzenia adaptacyjne (F.43.2 wg obowiązującej międzynarodowej „Klasyfikacji zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania ICD-10"). Musieli bowiem adaptować się do istotnych zmian życiowych i do następstw stresującego wydarzenia, jakim była konieczność opuszczenia Ojczyzny. Reagowali nastrojem depresyjnym, lękiem, zamartwianiem się, poczuciem niemożności poradzenia sobie, znalezienia się w obcym, nie zawsze przyjaznym środowisku, ujawniali trudności w skutecznym wykonywaniu codziennych czynności. Bardzo często zaburzenia adaptacyjne przybierały kliniczny obraz zaburzeń lękowych, lękowo-depresyjnych lub zaburzeń innych emocji takich jak obawy,napięcie, gniew, zaburzenia agresywne itd. Konieczność uczenia się języka, zwyczajów nowego miejsca, a przede wszystkim potrzeba codziennego funkcjonowania przy olbrzymiej tęsknocie za krajem i ludźmi,których się zostawiło - sprawiały, że objawy adaptacyjne, najczęściej lękowo-depresyjne ulegały nasileniu.

Lata mijały, życie zmuszało do funkcjonowania w innym świecie, koledzy kończyli studia, zakładali rodziny, zmieniali miejsce pobytu lub przywiązywali się do dotychczasowego. Ale stale pamiętali i pamiętają miejsce swojego dzieciństwa. I nie znajdują odpowiedzi na pytanie, dlaczego spotkał ich taki los. Mimo upływu lat Morze Bałtyckie jest dla Nich najpiękniejsze chociaż z okien obecnego domu widzą Pacyfik. W ekskluzywnych domach na przedmieściach Hajfy nadal króluje Cepelia z lat sześćdziesiątych, natomiast San Jose jest sympatyczne bo na terenie miasta jest polski sklep z kiełbasą i bigosem. Poza nostalgią do polskich posiłków i bieżników większość znajomych - pokonała zaburzenia adaptacyjne nie pozostawiając w swej osobowości głębszych zaburzeń.

Niestety, część przyjaciół, z którymi spotkaliśmy się w lipcu tego roku ujawnia wyraźne tzw. trwałe zmiany osobowości po przeżyciu sytuacji ekstremalnej (F.62.0. według ICD-10). Osoby te zdradzają wrogą i nieufną postawę wobec świata, są wycofane z życia społecznego, stale odczuwają uczucie pustki lub beznadziejności, nie ukrywają, że są wyobcowane, towarzyszy im przewlekłe uczucie „bycia na krawędzi", jakby stałego zagrożenia. Nie znalazły się w nowym miejscu, zamknęły się w sobie, nie osiągnęły spektakularnego sukcesu zawodowego i prywatnego, nazywają siebie życiowymi loserami i za wszystko winią utratę Ojczyzny. Bo nadal czują się Polakami a miejsce, w którym przebywają jest dla nich miejscem zesłania. Korzystają nierzadko ze wsparcia psychologiczno-psychiatrycznego i stale we wspomnieniach jadą w pociągu zbliżającym się do granicy.

Ktoś powie, że nie wszyscy wyjechali. To prawda i niektórzy z nich mają mieszane uczucia.

Pan prof. Włodzimierz Stępiński, szczeciński historyk, na spotkaniu uczestników Zjazdu przedstawił losy „braci starszych" na ziemiach polskich na przestrzeni dziejów. I udowadniał, że nie zawsze „bracia" stali z boku. Nie rzadko byli przebojowi, bogaci, władczy, trudniący się lichwą, interesowni, nielojalni. Pan Eryk Krasucki ze szczecińskiego Oddziału IPN-u przypomniał z kolei okres wyjazdów (rok 1956-57, 1968-69) i znajdujące się w materiałach archiwalnych z tych lat przejawy antysemityzmu w listach, hasłach,okrzykach na wiecach itd.

Nasi Przyjaciele zostali skrzywdzeni przez los. Ich życie w okresie najbardziej czułym bo młodzieńczym uległo w pewnym sensie - pogwałceniu. Doznali totalnego rozczarowania do wiary w dobro, miłość do bliźniego swego, w tolerancję itd. Przy okazji reunionu, w trakcie krążenia po globalnej wiosce zwanej światem - czasem spotykamy się z nimi. Ktoś powie, że to wystarczy. To nie wystarczy. Wszyscy, i oni i my zostaliśmy złamani, pozbawieni różowych okularów oraz wiary w dobro i tolerancję na tym świecie. Zostaliśmy okaleczeni w ramach obłędnej, paranoicznej ideologii, ksenofobii, postaw homilopatycznych i psychopatycznych przez tych, którzy nami rządzili. Daliśmy się uwieść złej władzy sprawowanej przez złych, małych, zawistnych ludzi. Ludzi leczących kompleksy z dzieciństwa, poczucie mniejszej wartości z szansą zademonstrowania siły, owładniętych idee fixe (fr.) w najgorszym tego słowa znaczeniu. Nasuwa się pytanie: czy słabość, bierność, zależność, spolegliwość a może nasz narodowy konformizm sprawiły, że grono osób zdradzających ewidentną psychopatologię - uczyniło to, że opuścili kraj ludzie młodzi,zdolni, kreatywni. Podobno jednak inni od nas. Czy może chodziło jeszcze o coś innego? Warto zastanowić się. Czasy obecne też prowokują do podobnych pytań. [ ]

Maciej Strączyński
Przewodniczący III Wydz. Karnego Sądu Okręgowego w Szczecinie

Upadek domu Loitzów

W roku 1569 jaśnie oświecony książę Barnim XI, od trzydziestu siedmiu lat władający Szczecinem i wschodnią częścią Pomorza podzielonego wzdłuż Odry, zrzekł się panowania. Jego przydomek „Stary" był już wtedy w pełni uzasadniony. Barnim XI przeżył swego brata Jerzego I Jednookiego, przeżył jego syna Filipa I Pobożnego, z którym wspólnie wprowadził na Pomorzu reformację, a gdy nie mając synów ustępował z tronu, pozostawiał go synom Filipa I. Było ich aż pięciu, zatem więcej było chętnych niż tronów.

Najstarszy, Jan Fryderyk zwany Mocnym, miał 27 lat. Od dwóch lat wraz z młodszym o dwa lata Bogusławem XIII władał zachodnią częścią Pomorza, rezydując w Wołogoszczy. Teraz przejął od stryjecznego dziadka władzę w Szczecinie. Bogusław XIII zrezygnował z samodzielnych rządów w Wołogoszczy, oddając je następnemu bratu – Ernestowi Ludwikowi Pięknemu. Sam objął niewielki okręg i osiadł na zamku w Bardzie. Czwarty brat, Barnim XII Młodszy osiadł w Darłowie, a piąty, Kazimierz VI, miał dopiero 12 lat i czekał na swój udział w rządach.

Jan Fryderyk, książę bywały na dworach i chwalący się szerokimi znajomościami w całej Europie, z przychylnością cesarza Maksymiliana II włącznie, zaczął swoje panowanie od wielkiego wydarzenia. Oto już w pierwszym roku jego rządów w Szczecinie zwołany został kongres pokojowy, który miał zakończyć trwającą od lat wojnę północną między Danią, miastami hanzeatyckimi i Polską z jednej strony, a Szwecją i Moskwą z drugiej. Przedstawicieli przysłały poza walczącymi stronami także Francja, Anglia i Niderlandy. Szczecin stał się polityczną stolicą Europy, gospodarzem był zaś Jan Fryderyk Mocny, będący również reprezentantem cesarza. Wykształcony, pełen elegancji książę błyszczał w towarzystwie, zyskiwał splendor, ale im dłużej kongres trwał, tym więcej trzeba było ponosić kosztów. W efekcie gdy w grudniu 1570 r. dobiegał on wreszcie końca, kasa książęca pokazała dno, jako że Barnim XI Stary zapewnił sobie emeryturę, zatrzymując dożywotnio część dochodów księstwa. Jan Fryderyk więc się zapożyczał. A miał u kogo, bo wspierał go ojciec chrzestny – Stefan Loitz.

Kim byli Loitzowie? Do historii wkroczyli w osobie Michała Loitza. Wiadomo o nim tyle, że jako pierwszy z rodu przybył do Szczecina, nawiązał współpracę ze znanym kupcem i rajcą Albrechtem Hogenholtzem, a po jego śmierci ożenił się z wdową po nim. Skąd pochodził? Najprawdopodobniej z Łozic, małego pomorskiego miasteczka leżącego w zachodniej (obecnie niemieckiej) części Pomorza, które już wtedy i obecnie nosiło zniemczoną nazwę Loitz. Nie wiadomo, czy przywiózł ze sobą jakiś „wkład finansowy", czy po prostu żeniąc się z wdowa po Hogenholtzu przejął majątek poprzednika. W każdym razie od niego rozpoczęła sie finansowa potęga rodu. Synowie Michała przejęli majątek po ojcu i tak powstał wielki dom Loitzów.

Nowy ród został szybko wprowadzony do szczecińskiej elity. W ręce Loitzów dostały się już w drugim pokoleniu tytuły burmistrza miasta. Tytuły, bo Szczecin w tych czasach nie miał jednego burmistrza, lecz kilku: tytuł burmistrza przysługiwał najwyższym rangą rajcom. Burmistrzowski stolec był też w rodzie Hogenholtzów: ostatni dzierżący go Hogenholtz, Jakub, zmarł w 1525 r. Ale już wtedy innym z burmistrzów był Maurycy (Moritz) Loitz. Jego rodowód nie jest pewnie ustalony, być może był starszym synem Michała, w każdym razie nic nie wiadomo, by pozostawił po sobie potomków. Wkrótce zaś tytuł burmistrza miało już dwóch Loitzów, bo do Maurycego dołączył Jan (Hans) Loitz. Po śmierci Maurycego (zmarłego prawdopodobnie w 1529 r.) stał się on głową rodu. A że miał czterech synów, było dla kogo robić majątek.

Trzeba było zacząć dzielić obowiązki. Początkowo Loitzowie handlowali głównie solą, śledziami i zbożem. Wkrótce wzbogacili się na tyle, że ich dom handlowy stał się bankiem. Wkrótce całe Pomorze było finansowo uzależnione od Loitzów. Ci jednak działali rozsądnie, a przede wszystkim dbali o przychylność książęcą: ten i ów wyzywałby ich dziś od oligarchów... Już wtedy Loitzowie zamieszkiwali słynną do dziś kamienicę, prawdopodobnie wcześniej należącą do Hogenholzów: oczywiście wygląd jej wielokrotnie się zmieniał. Jan Loitz podjął więc decyzję: trzeba rozszerzyć działalność poza ojczyste Pomorze, poza Szczecin. Wybór padł na najbogatsze miasto południowego Bałtyku – Gdańsk.

Do Gdańska wyruszyli więc dwaj starsi z czterech synów Jana Loitza: Michał i Szymon. Zaczęli kierować nowo otwartą gdańską filią banku, która rychło się usamodzielniła. W krótkim czasie w kieszeni gdańskich Loitzów siedział niemal cały gród nad Motławą. Bank Loitzów (ich nazwisko w Polsce niejedno-

krotnie przekręcano na „Loysków" czy też podobnie) finansował handel i budowę statków. Tak potężna firma zwróciła wkrótce na siebie uwagę nie byle kogo, bo króla Polski Zygmunta Starego.

Loitzowie przybyli z kraju, w którym panowali siostrzeńcy króla i mieli za sobą ich przychylność. Już w 1535 r. Michał Loitz otrzymał więc od króla starostwo nowodworskie: urodzony w Szczecinie pomorski bankier objął funkcję zarezerwowaną wyłącznie dla polskiej szlachty. Wcześniej Żuławy stanowiły dobra królewskie pod nazwą ekonomii nowodworskiej. Funkcja starosty pozostała w nobilitowanym w ten sposób rodzie przez ponad trzydzieści lat, bo po Michale przejęli ją jego synowie. W Szczecinie u boku ojca natomiast rodzinną fortunę kuli dwaj następni z braci, Stefan i Jan. Gdy więc w 1539 r. Jan Loitz opuścił nasz padół, bracia zabezpieczyli finansowo matkę i prowadzili dalej interesy.

Był rok 1542, gdy księciu Filipowi I urodził się drugi z kolei syn, Jan Fryderyk (jego starszy brat zmarł w dzieciństwie) i jednym z jego ojców chrzestnych został Stefan Loitz, wówczas już głowa szczecińskiej gałęzi rodu. Bankier miał wtedy 35 lat. To swoiste powinowactwo otworzyło mu jeszcze szerzej drogę na salony książąt i królów, ale przede wszystkim otwierały mu ją pieniądze. W Polsce Michał Loitz jako starosta nowodworski w 1548 r. przeniósł się z Gdańska na Żuławy i zbudował zamek w Nowym Dworze Gdańskim. Na zarządzany przez siebie obszar Loitzowie sprowadzali holenderskich osadników. Dziś, gdy wielu dostrzega podobieństwo leżących w depresji Żuław Wiślanych do holenderskich polderów, na ogół nie wie, że rękę do ich obecnego stanu przyłożył ród szczecińskich bankierów.

W tym samym roku zmarł Zygmunt Stary, a tron objął spoglądający chętnie ku morzu Zygmunt August. *„Było i na oceanie znaczne jego panowanie, bo i tam chciał być ogromnym nieprzyjacielom koronnym..."* napisze w 1603 r. Stanisław Grochowski w poemacie „August Jagiełło wzbudzony". Stefan Loitz dostrzegł

kamienica Loitzów w Szczecinie

szanse rodu i wyruszył do Polski, pozostawiając w Szczecinie Jana. Królowie i książęta zawsze mieli za mało pieniędzy. Pomorze nie było zaś biedne, Barnim Stary i jego bratanek Filip sprawnie zarządzali księstwem. Pożyczki u Loitzów jednak brali. Zapożyczył się u szczecińskich bankierów Joachim II Hohenzollern, wrogi Pomorzu elektor brandenburski. Największym jednak klientem stał się Zygmunt August. Jego marzenia o budowie floty wojennej w oparciu o Elbląg i Gdańsk wymagały pieniędzy. A nad Bałtykiem mieli je przede wszystkim Loitzowie. Spłatę pożyczki w wysokości 100 tysięcy talarów zagwarantowali Zygmuntowi Augustowi książęta pomorscy – cioteczny brat króla Barnim i jego bratanek Filip.

Do kontaktów z królem Polski wytypowany został Stefan. Wkrótce stał się bliskim współpracownikiem ostatniego Jagiellona i był nim przez wiele lat. Gdy Zygmunt August powołał w 1568 roku Komisję Morską mającą zająć się królewską flotą, znalazł się w niej także Stefan Loitz. Szumu było dużo, a w istocie sprowadziło się to do budowy za pożyczone od Loitzów pieniądze pierwszego okrętu, galeonu o nazwie „Smok". Budowany w Elblągu okręt, zwodowany 14 czerwca 1571 r. (według niektórych źródeł – 1572 r.) nie został zresztą nigdy ukończony i w końcu go rozebrano.

Potem był rok 1569, objęcie tronu w Szczecinie przez Jana Fryderyka i rujnujący jego kasę kongres pokojowy. Oczywiste się stało, że gwarancja spłaty pożyczki Zygmunta Augusta przez szczecińskich książąt nie ma już żadnej wartości: Jan Fryderyk miał pustą kieszeń, jego brat Ernest Ludwik Piękny z Wołogoszczy był w niewiele lepszej sytuacji – poza tym serdecznie nie lubił Jana Fryderyka – a Barnim Stary ze swej emerytury nie był skłonny do oddawania czegokolwiek. Tymczasem powołanie Komisji Morskiej okazało się już ostatnim czynem Zygmunta Augusta z zakresu jego bałtyckich zainteresowań. Stan zdrowia króla się pogarszał, następcy tronu nie było, co zatruło doszczętnie niezłemu przecież władcy ostatnie lata życia i odebrało mu energię. 7 lipca 1572 r. ostatni z Jagiellonów zmarł podczas pobytu w Knyszynie. Stefan Loitz do końca był w kontakcie z królem i gdy nadeszła z Knyszyna zatrważająca wieść, zobaczył pewnie oczyma duszy, jak przekraczające już trzysta tysięcy talarów wierzytelności rozwiewają się gdzieś we mgle...

Wierzyciel wierzy, że mu oddadzą, a dłużnik długo nie oddaje – jak to kiedyś słusznie wyjaśniono. Królewska dynastia w Polsce wygasła, rozpoczęło się pierwsze elekcyjne bezkrólewie. Ale Loitzowie już wkrótce dowiedzieli się, że na koronację nowego króla nie ma co czekać. Polscy senatorowie, kierowani przez interrexa – prymasa, na żądanie Loitzów odpowiedzieli krótko: nie oddamy nic. To król pożyczał pieniądze od was, nie Rzeczpospolita. Król umarł. Żadnych długów królewskich Rzeczpospolita płacić nie będzie.

Postawa Polaków była daleka od uczciwości. Król dysponował tzw. królewszczyznami, majątkiem związanym wyłącznie z osobą aktualnie panującego monarchy i przejmowanym tylko przez jego następcę na tronie. Zygmunt August, który na króla koronowany został jako chłopiec za życia ojca (stąd przydomek ojca „Stary", dla odróżnienia od syna – imiennika), przez całe życie posiadał tylko majątek stricte królewski, bo z zapisanych mu przez matkę Bonę sum neapolitańskich okradł go w dalekich Włoszech truciciel Bony, Gianleazzo Pappacoda. Wszystko, co Zygmunt August pożyczył od Loitzów, było przeznaczone na działalność królewską, a budowa floty miała posłużyć potędze Polski. Ale wierzyciele pochodzili z Pomorza, państwa zbyt słabego wobec potężnej Rzeczypospolitej, aby mogło się skutecznie upomnieć o swoich obywateli. I polscy senatorowie bez skrupułów pokazali Stefanowi Loitzowi drzwi.

Bankier wrócił załamany do Gdańska i posłał hiobową wieść najmłodszemu bratu do Szczecina. Jan Loitz szybko zrobił rachunki i zrozumiał to, co wiedział już brat: byli bankrutami. Książę Jan Fryderyk Mocny, mimowolny poręczyciel pożyczki, sam był goły jak święty turecki. O tym, że polski król jest winien Loitzom olbrzymie sumy, wiedzieli wszyscy. Oczywiste było, że gdy wieść o jego śmierci się rozejdzie, wszyscy rzucą się na Loitzów, aby odzyskać, co się da. A w banku Loitzów lokowało pieniądze całe Pomorze: szlachta, mieszczanie...

Zdesperowany Jan Loitz spakował więc, co się dało, cichcem wyprawił do Gdańska do braci wszystko, czym jeszcze dysponował w gotówce i majątku, po czym niepostrzeżenie uciekł ze Szczecina do Polski. Skandal był straszliwy. W czasach Bogusława X Wielkiego Pomorze było na tyle zamożne, że było w stanie samo bez wsparcia wymienić spodloną walutę i wybijać pełnowartościowe złote guldeny pomorskie. To pod koniec panowania Bogusława na arenę historii wkroczyli Loitzowie. Niespełna 50 lat później okazało się, ze wchodząc w interesy z królami sięgnęli zbyt wysoko. Wyprawili poza granice Pomorza olbrzymie ilości złota i srebra, udzielając pożyczek. Wyekspediowali własne dochody i lokaty klientów banku. Pozostały im bezwartościowe kwity i zbyt późno otrzymana lekcja, że królowie chętnie pożyczają, a oddają niechętnie, gdyż nikt nie może ich do tego zmusić.

Po ucieczce do Polski Jan Loitz ogłosił upadłość banku. Niedobory wyniosły ponoć 200 beczek srebra, ale kto by je tam zliczył. Upadek banku Loitzów był bez wątpienia pierwszą wielką aferą finansową Europy, a tym samym świata. Zatrzęsły się w posadach rynki wolnego handlu w wielu krajach, zwłaszcza nadmorskich. Po raz pierwszy w czasie pokoju, nie wskutek wojny, doszło do zrujnowania wielu majątków. Porównanie ze słynnym amerykańskim krachem na Wall Street z 1929 r. byłoby jak najbardziej uzasadnione. Bogactwo Pomorza, zawdzięczane w znacznej mierze potędze Loitzów, runęło jak domek z kart. Z tego krachu Pomorze już nigdy się nie podniosło i do końca swej niepodległości ledwie wiązało koniec z końcem.

Po potędze banku pozostały dziesiątki procesów, które wierzyciele Loitzów wytaczali ich poręczycielom. Jednym z nich był Jan Fryderyk Mocny. Książę przejął i sprzedał to, co po bankrutach zostało, między innymi kamienicę, ale i tak był grubo pod kreską. Zażądał od Polski wydania zbiegłych bankierów ich majątku, ale nikt go tam nie słuchał. Stefan Loitz pozostał w Gdańsku, a jego brat Jan wylądował aż w Krakowie i tam podjął służbę w polskiej dyplomacji. Przyjęcie go w Krakowie było dla Polaków tańsze niż oddawanie długów, zwłaszcza że Loitz coś tam ze Szczecina wywiózł i głód mu nie groził.

Krótkotrwałe panowanie Henryka Walezego i kolejne burzliwe bezkrólewie nie pomogły Janowi Fryderykowi. Gdy na tronie polskim zasiadł Stefan Batory, zaczął bardzo sprytnie rozgrywać sprawę z naszym księciem. Gdy Jan Fryderyk żądał zwrotu pieniędzy, Batory groził mu cofnięciem lenna z Lęborka i Bytowa, dzierżonego przez Gryfitów od pięciu pokoleń. Potem król przebąknął coś o spłacie długu poprzednika, ale sugerował spłatę solą z kopalni w Wieliczce, stanowiącej królewszczyznę. W panikę wpadły pomorskie miasta, obawiając się zrujnowania handlu solą z salin kołobrzeskich. Jan Fryderyk nie mógł przystać na tę formę spłaty. W efekcie już nigdy nie dostał nic, bo gdy Stefan Batory zmarł, z Zygmuntem III Wazą nie dało się w ogóle rozmawiać. Olbrzymi niespłacony dług polskiego króla sprawił, że Pomorze już na zawsze odwróciło się plecami do Polski – bogatego kraju, który bez skrupułów okradł i zrujnował słabszego sąsiada.

Potomkowie Loitzów mieszkali jeszcze przez krótki czas w Polsce. Stefan Loitz zmarł w 1584 r., daty śmierci Jana nie znamy. Wkrótce również gdańscy Loitzowie i ich bank zniknęli z kart historii, ród wygasł. Na Pomorzu pozostawili po sobie dwuznaczne wspomnienie jako ci, którzy najpierw stworzyli tu największą finansową potęgę Europy, a potem doprowadzili do upadku finansowego swój kraj i uciekli. I kamienicę, nad którą z uwagi na jej nieprzeciętną urodę i niezwykłą historię zlitowali się niszczyciele miasta, rozbierający po II wojnie światowej Szczecin na cegłę dla Warszawy. Po latach ród Loitzów przybliżyła Polakom Małgorzata Duczmal, specjalizująca się w historii epoki jagiellońskiej, która na podstawie swojej pracy doktorskiej napisała trzytomową sagę „Róża i morze". Wprawdzie przodka rodu Michała przerobiła w powieści na Polaka, ale niech tam. Licentia poetica, a poza tym dla prostego ludu historię zawsze się fałszuje w swoją stronę.

Niezbyt elegancki dowcip niemieckiego satyryka *„Jedźcie na wakacje do Polski, wasze samochody już tam są"* odbił się w Polsce końca XX wieku głośnym echem. Pomorzanie mieli prawo o XVI-wiecznej Polsce mówić jeszcze gorsze rzeczy.

Ja też. [ ]

Paweł Miedziński, OBEP IPN Szczecin

Lokal Kontaktowy „Matka”

czyli o przekroju społecznym mieszkańców pewnej kamienicy

Spotkania z tajnymi współpracownikami miały odbywać się w odpowiednio przygotowanych miejscach, umożliwiających swobodne spotkanie, które można zachować w tajemnicy. Do tego służyły tak zwane lokale kontaktowe (LK). Organizowano je w mieszkaniach prywatnych, za zgodą właściciela, który musiał być dyskretny oraz mieć właściwą postawę moralno-polityczną. Sąsiedzi nie mogli być przedmiotem zainteresowania organów bezpieczeństwa[1]. Osoba udostępniająca lokal otrzymywała wynagrodzenie a także podlegała rejestracji.

Mieszkanie, o którym mowa w tytule, wytypowano na lokal kontaktowy w połowie lat 60-tych. Pierwszym jego użytkownikiem był Wydział II 12 Brygady WOP. Pod koniec lat 70-tych zainteresował się nim kapitan Leon Dynak z SB. Wkrótce potem mieszkanie to stało się Lokalem Kontaktowym „Matka”. Jak wynika z zachowanych dokumentów służył on SB od 1977 do 1983 roku. Sam lokal znajdował się na parterze i składał się z *„2 pokoi, kuchni i ubikacji, zamieszkuje jedna osoba, jest wdową, stąd nieograniczone możliwości korzystania w dowolnych godzinach. Mieszkańcy klatki to nauczyciele i emeryci. Wejście do klatki schodowej jest swobodne i z różnych stron ulic. Legendą wejścia będzie udzielanie korepetycji.[2]”* W lokalu odbywały się spotkania 10 tajnych współpracowników, głównie wiosną i latem 1977 roku. Później z lokalu miano nie korzystać z uwagi na wysokie prawdopodobieństwo dekonspiracji. Wizyty nieznanych osób pod nieobecność właścicielki wydały się podejrzane sąsiadce, a także kuzynce samej właścicielki.

Nieduża kamienica w której znajdował się ów „LK” znajdowała się w centrum Szczecina. Warunkiem wyrażenia zgody na taką, a nie inną lokalizację było „prześwietlenie” kartoteki w poszukiwaniu materiałów dotyczących mieszkańców owej kamienicy. Tym samym powstał ciekawy materiał, który dziś może posłużyć do różnych badań – w tym zupełnie niezwiązanych z tematyką „organów bezpieczeństwa”. I korzystać z niego mogą choćby demografowie czy socjologowie miasta. Przybliżmy zatem strukturę społeczną, jaka wyłania się z „teczki LK „Matka”.

I tak pod numerem „1” zamieszkiwała wdowa po lekarzu, emerytka – to u niej spotkali się agenci ze swoimi oficerami. Numer „2” zajmował nauczyciel technikum wraz z żoną emerytką. Nauczyciel ten był represjonowany w trakcie wojny przez Niemców. Po wojnie przyjechał najpierw do Białogardu, a później do Szczecina. „Trójkę” zajmowało małżeństwo rencistów, o których nic więcej nie wiemy. Mieszkał z nimi syn, ale tymczasowo przebywał w zakładzie karnym (wyrok 4 lata za napad rabunkowy). Pod „czwórką” mieszkało małżeństwo – pan domu również był wcześniej karany i stąd zachowały się zapisy w kartotece – jednak jego „przestępstwem” był sam fakt bycia „badaczem pisma świętego” (sic!) i utrzymywał kontakty „z aktywem Św. Jehowy” (w obu przypadkach pisownia oryginalna – przyp. Autora). W 1950 roku spędził 4 miesiące w areszcie. Sprawę ostateczne umorzono. Pod numerem „5” mieszkała najprawdopodobniej emerytowana już nauczycielka Technikum Ekonomicznego. Najprawdopodobniej, gdyż choć nie jest to zapisane przez sporządzającego raport, to musiałaby uczyć w wieku lat 75. Jej sąsiadem była pracownica Urzędu Miejskiego. Panna. Następne mieszkanie zajmował muzyk zatrudniony w Polskim Radiu i TV wraz z żoną – pracownicą Muzeum Pomorza Zachodniego i nastoletnim synem. Mieszkanie numer „8” należało do nauczycielki Szkoły Muzycznej i jej męża – pracownika Banku Inwestycyjnego w Szczecinie. Kolejne lokum zajmowała samotnie pracownica Zakładów Odzieżowych „Dana”. Pod „dziesiątką” mieszkało małżeństwo robotników – on pracował w porcie jako mechanik, ona w „Instalu” jako maszyniarka. Mieszkał wraz z nimi syn. Ich sąsiadami było małżeństwo rencistów. Jak podkreślił sporządzający raport, panieńskie nazwisko matki pana domu brzmiało Falkgnstein. Wzbudziło to czujność funkcjonariusza i zdecydował się na zapisanie jego dużymi literami. Następny był z kolei przedwojenny nauczyciel (z wyższym wykształceniem) wraz ze swoją małżonką. Jego sąsiadem był pracownik fizyczny z wykształceniem średnim zawodowym, członek PZPR. Mieszkał sam, gdyż jego żona odmówiła powrotu do PRL z wycieczki do Niemiec Zachodnich. Ponieważ ów człowiek przyjechał do Polski w 1955 roku w ramach akcji repatriacyjnej był rozpracowywany przez aparat bezpieczeństwa w ramach „sprawy ewidencyjnego sprawdzenia” nomen omen – „Repatriant”, którą to prowadzono aż do 1964 roku. Numer „14” zamieszkiwała samotnie 80 letnia rencistka. Kolejne mieszkanie należało do rodziny pracownika Morskiego Klubu Sportowego „Pogoń” oraz jego żony nauczycielki. Mieszkało z nimi dwoje dzieci. Następne mieszkanie zajmowała

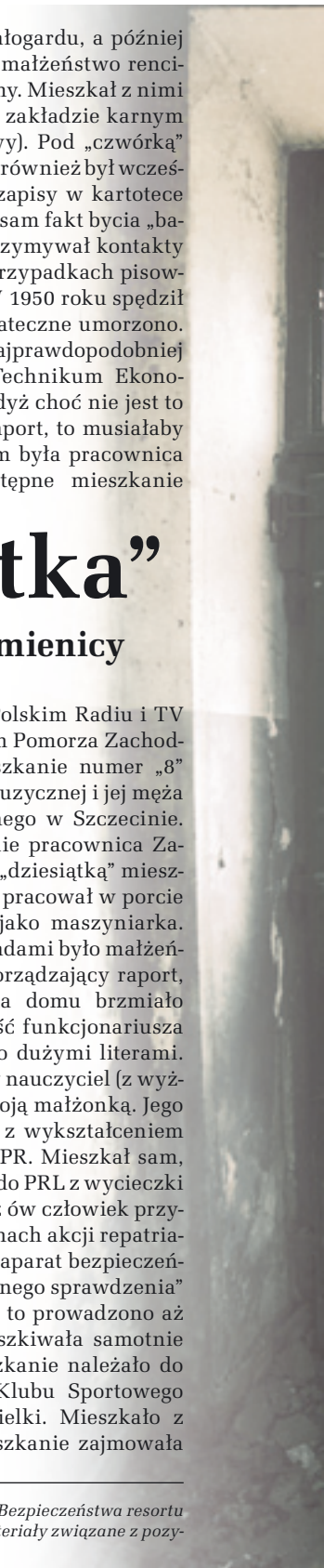

1) Zarządzenie nr 006/70 Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 1 lutego 1970 r. w sprawie pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa resortu spraw wewnętrznych § 18; 2) IPN Sz 0060/2 k. 7 i następne – to „teczka” LK „Matka”. Znajdują się w niej wszelkie materiały związane z pozyskaniem tego mieszkania, zobowiązania do tajemnicy, pokwitowania odbioru pieniędzy.

Sprostowanie:
Autorem artykułu „Czerwiec 1967 r. w Polsce” – opublikowanego w poprzednim numerze In Gremio – jest p. Marcin Ożoga, a nie Radosław Ptaszyński. Za pomyłkę przepraszamy.
(redakcja)

księgowa wraz ze swoim mężem, o którym brak bliższych danych. Ich sąsiadką była pracownica VI Liceum. Numer „18" zajmowało kolejne małżeństwo emerytów. On również był nauczycielem. Pod numerem „19" mieszkała samotnie pracownica biurowa, będąca najprawdopodobniej na rencie. Kolejne mieszkanie zajmował pracownik umysłowy przedsiębiorstwa budowlanego. Mieszkał on razem z przedwojennym oficerem, więźniem oflagu, aresztowanym w 1949 roku za przynależność do nielegalnej organizacji „Polskie Katolickie Siły Zbrojne". Od 1958 roku przez 3 lata był inwigilowany przez SB. Jego sprawie nadano kryptonim „Garaż". Ostatnie mieszkanie w owej kamienicy zajmowało rodzeństwo. Wiemy tylko, że jeden z braci dopiero co ukończył politechnikę.

Jak wynika z zapisów w kartotece w owej kamienicy zamieszkiwało czterech byłych tajnych współpracowników. TW „Giewont" miał rozpoznawać środowisko „b. członków UPA i swego szwagra przebywającego w R.F.N.". Z uwagi na to, że nie przekazywał wartościowych meldunków, i miał być małomówny i nietowarzyski został „wyeliminowany z czynnej sieci agenturalnej" w 1961 roku. Drugi, TW „Dwójka", współpracę podjął zaraz po wojnie. Brak jest jednak bliższych danych co do jej charakteru jak i czasu trwania a nawet powodów rezygnacji z jego usług. Kolejną osobą była zwerbowana w areszcie córka osoby, która przyjęła II grupę Volkslisty. TW „Jakub", bo taki miała pseudonim – z powodu choroby nie podjęła w zasadzie współpracy i po pewnym czasie została skreślona z listy agentów. Kolejną osobą jaka należała do byłych współpracowników był TW „Droga". Jak wynika z dokumentów, Urząd Bezpieczeństwa w Przeworsku korzystał z jego współpracy przez 1 rok. Fakt, że na 21 mieszkańców aż 5 osób było w przeszłości lub aktualnie tajnymi współpracownikami jest wysoce zastanawiający.

I tak oto niechcący kapitan Dynak, starszy inspektor Sekcji VI „A" Wydziału III Służby Bezpieczeństwa zebrał dane użyteczne badaczom po wielu latach, a zupełnie nie związane z celem jaki mu przyświecał. Dzięki znajomości daty i miejsca urodzenia, która znalazła się przy każdej opisywanej osobie możemy odtworzyć po latach problem migracji ludności. Informacje o pochodzeniu społecznym, wykształceniu, miejscu pracy pozwalają śledzić strukturę społeczną w mikro skali jaką stanowiła przedmiotowa kamienica. Nawet fakt ilu było emerytów a ile osób aktywnych zawodowo jest interesujący. Oczywiście badania ograniczające się do jednego LK nie pozwalają na wyciągnięcie zbyt daleko idących wniosków, ale już analiza wszystkich takich obiektów znajdujących się w dyspozycji aparatu bezpieczeństwa pozwala zebrać wiele danych i obserwacji dotyczących ówczesnego społeczeństwa, a których próżno szukać w innych archiwach. Gdyby dziś powtórzyć pracę jaką wykonał Dynak, otrzymalibyśmy badania porównawcze – jak zmieniła się struktura społeczna mieszkańców na przestrzeni lat. [ ]

Maciej J. Nowak
aplikant radcowski w kancelarii
„Skotarczak i Dąbrowski
Kancelaria Prawnicza s.c.”
Szczecin

„Lex Cywiński”

czyli ustawa o ochronie imienia Józefa Pilsudskiego

W historii da się odnaleźć dziesiątki przypadków, kiedy to prawo było wykorzystywane do bieżących celów politycznych danej ekipy rządzącej. Praktycznie rzecz biorąc każda władza w mniejszym lub większym stopniu próbuje dostosować wybrane normy prawne do własnych interesów. Na szczęście jednak w takich wypadkach prawie zawsze znajdą się ludzie, którzy potrafią przeciw temu kategorycznie zaprotestować.

Po śmierci Józefa Piłsudskiego jego dotychczasowi współpracownicy znaleźli się w trudnej sytuacji. Z jednej strony nie chcieli – co zrozumiałe - nikomu oddawać sprawowanej władzy, ale z drugiej nie potrafili wyłonić postaci, która charyzmą i charakterem potrafiłaby skutecznie zastąpić Marszałka. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, ponieważ deficyt osobowości stanowił tylko przypadłość obozu rządzącego. Wśród opozycji można było zauważyć wybitnych polityków, czy to z wielkim autorytetem (Roman Dmowski, Wincenty Witos), czy sporą popularnością w armii (Władysław Sikorski), czy też z niezwykłą wręcz energią i doświadczeniem (Mieczysław Niedziałkowski, Herman Lieberman). Tymczasem w ramach sanacji doszło do ukształtowania się dwóch grup: pierwszej, coraz bardziej nacjonalizującej, skupionej wokół Edwarda Rydza – Śmigłego i drugiej, zerkającej w stronę centrum, popierającej prezydenta Ignacego Mościckiego. Zarówno jednak Rydz, jak i Mościcki nie mieli specjalnie rozwiniętych koncepcji programowych, koncentrując się na politycznych gierkach prowadzących do przejęcia spadku po Komendancie. W tych okolicznościach jasnym się stało, że niezwykle silną, jeśli nie najsilniejszą bronią dla wszystkich przedstawicieli sanacji bronią może się okazać nazwisko zmarłego. Potrzebna była tylko odpowiednia okazja...

W styczniu 1938 „Dziennik Wileński” opublikował recenzję pracy Melchiora Wańkowicza. Autor recenzji, docent historii literatury polskiej na Uniwersytecie Wileńskim, Stanisław Cywiński, stwierdził na marginesie charakterystyki książki, że rozwijający się Centralny Okręg Przemysłowy zadaje „kłam słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: tylko to coś warte, co jest po brzegach, a w środku pustka”. Tekst nie wspomniał nazwiska Piłsudskiego, ani nie wypowiadał się na tematy stricte – polityczne. Jednakże po pewnym czasie niektórzy przedstawiciele sanacji doszli do wniosku, że autorem słów o obwarzanku... był właśnie Marszałek. A co za tym idzie – Marszałek został w pewien sposób w artykule Cywińskiego obrażony. 13 lutego podniósł tę sprawę do dziś anonimowy redaktor pisma „naprawiaczy”, „Naród i państwo”. I od tego momentu rozpętała się wielka burza. Najbardziej zbulwersowali się wileńscy oficerowie, którzy postanowili ukarać Cywińskiego i redaktora naczelnego „Dziennika Wileńskiego”, byłego wicemarszałka Sejmu, Aleksandra Zwierzyńskiego. W ramach zaplanowanej akcji grupowo odwiedzili mieszkanie tego pierwszego i redakcję tego drugiego po czym niezwykle brutalnie ich pobili. Dosyć wspomnieć, że Cywiński w wyniku incydentu stracił oko. Po tym zdarzeniu opinia publiczna podzieliła się w Polsce na dwie grupy. Pierwsza żądała dalszego ukarania autorów znieważenia pamięci Marszałka, a druga – potępiała bestialskie zachowanie żołnierzy wojska polskiego. Potępiała do tego stopnia, że na wielu przyjęciach, w restauracjach, miejscach publicznych demonstracyjnie odsuwano się od wszystkich mundurowych.

Zareagował również zdominowany przez sanację parlament. 13 kwietnia 1938 weszła w życie „ustawa o ochronie imienia Józefa Pilsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski”. Brzmiała ona następująco:

Art. 1. Pamięć czynu i zasługi Józefa Piłsudskiego – Wskrzesiciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu po wsze czasy należy do skarbnicy ducha narodowego i pozostaje pod szczególną ochroną prawa.

Art. 2. Kto uwłacza imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat 5.

Art. 3. Wykonanie ustawy niniejszej porucza się Ministrowi Sprawiedliwości.

Art. 4. Ustawa niniejsza wchodzi wżycie z dniem ogłoszenia.

Poza tym oczywiście trwały przygotowania do procesu Cywińskiego i Zwierzyńskiego. Rozprawę, ze względu na „dobro wymiaru sprawiedliwości” Izba Karna Sądu Najwyższego przeniosła z Wilna do Sądu Okręgowego w Warszawie. Rzecz jasna, przeciwko oskarżonym zgodnie z regułą lex retro non agit nie można było stosować nowej ustawy, więc zarzucono im znieważenie Narodu Polskiego poprzez zniewa-

żenie jednego z nawybitniejszych jego przywódców. Cywiński wraz ze swoimi adwokatami próbował różnych środków obrony. Najpierw zastanawiano się nad tym, czy nie zakwestionować jego zdrowia psychicznego. Później docent literatury polskiej próbował tłumaczyć, że wyraz „kabotyn" wcale nie ma tak jednoznacznie negatywnego znaczenia. I w końcu podjęto próbę udowodnienia, że w tekście w „Dzienniku Wileńskim" aluzja była skierowana nie przeciwko Józefowi Piłsudskiemu, a przeciwko znanemu konserwatyście, redaktorowi wileńskiego „Słowa" i dawnemu uczniowi oskarżonego, Stanisławowi Catowi Mackiewiczowi (który zresztą uczestniczył bardzo aktywnie w całym procesie)[1]. Wszystkie te środki okazały się jednak nieskuteczne i sąd I instancji skazał Cywińskiego na trzy lata więzienia. Zwierzyńskiego, który twierdził, iż dopuszczając tekst do publikacji nie wiedział, któż jest owym „kabotynem" – uniewinniono.

Sprawa stawała się coraz głośniejsza. Od wyroku sporządzono apelację. Stronę oskarżonego zasilili najwybitniejsi polscy adwokaci tamtych czasów, między innymi Stanisław Kijeński, Aleksander Mogilnicki i Stanisław Szurlej. Sąd Apelacyjny uchylił w części zaskarżony wyrok, zmieniając karę trzech lat na rok i sześć miesięcy pozbawienia wolności. Wniesiono jeszcze kasację do Sądu Najwyższego (do której przyłączyli się wszyscy dziekani izb adwokackich w Polsce), ale wyrok sądu II instancji został utrzymany. Okazało się jednak, że pomimo swej prawomocności wyrok ów (po odliczeniu siedmiu miesięcy w ramach tymczasowego aresztowania) nie był wykonywany. Z jednej strony uznano zapewne, że efekt propagandowy został już osiągnięty a z drugiej – powoli zbliżała się wojna z Niemcami i w tych okolicznościach nikt sprawą Cywińskiego już się specjalnie nie przejmował.

Historia z „lex Cywiński" udowadnia, że najlepiej nawet kojarzone w odbiorze społecznym zjawiska bardzo łatwo można wykorzystać w złych celach. Pamiętać trzeba jednak i o tym, że podobnie jak w przypadku procesu brzeskiego, polscy prawnicy nie okazali się obojętni na tę sprawę, silnie wspierając krzywdzonego przez państwo człowieka. Taka postawa powinna stanowić wzór i inspirację dla wszystkich reprezentantów zawodów prawniczych, niezależnie od tego, jaka opcja polityczna jest przy władzy i jakie stosuje środki w celu naginania prawa.

PS. Więcej o sprawie Cywińskiego można przeczytać w książce „Polska jest jak obwarzanek" Mariusza Urbanka oraz we wspomnieniach Stanisława Cata Mackiewicza. [ ]

1) Mackiewicz najpierw potępił artykuł Cywińskiego, ale bardzo szybko zaczął go bronić. Chciał również być świadkiem w sprawie, ale sąd nie wyraził na to zgody. Tak więc ów wybitny dziennikarz zapewne nie miał nic przeciwko temu, by to na niego zrzucono epitet „kabotyna" kosztem uniewinnienia oskarżonych.

Bardzo mi przykro, ale poczuwam się do obowiązku zwrócenia uwagi na małą wpadkę historyczną Redakcji.

Gdy zobaczyłem na s. 27 nr 9 (41) „In Gremio" reprodukcję słynnego obrazu Eugene Delacroix „Wolność wiodąca lud na barykady", pomyślałem, że artykuł p. Macieja J. Nowaka dotyczy rewolucji lipcowej.

Pierwsze zdanie artykułu zorientowało mnie, że chodzi o Wielką Rewolucję Francuską, której nie dotyczy reprodukowany obraz.

Namalowany w 1830 r. obraz był hołdem złożonym rewolucji lipcowej i wolnościowym dążeniom ludu paryskiego. Odbiór tego dzieła oscylował pomiędzy entuzjazmem a ostrymi atakami krytyków. Obraz antycypował sceny opisane później przez Wiktora Hugo w „Nędznikach".

Wydaje mi się, że warto sprostować małą anachroniczną gafę, aby zachować świetną reputację znanego miesięcznika.

Z poważaniem, koleżeńskim pozdrowieniem i życzeniami powodzenia w trudnej pracy redakcyjnej

adw. Jerzy Zaniemojski

dr Marek Tkaczuk, Katedra Historii Prawa,
Wydział Prawa i Administracji US

Działalność publiczna urzędników Prokuratorii Generalnej w II Rzeczypospolitej

Ideą In Gremio, czasopisma szczecińskich środowisk prawniczych, jest integracja osób wykonujących różne zawody prawnicze oraz propagowanie wśród nich postaw, które można określić jako działalność pro publico bono.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego sędziowie, prokuratorzy, radcy Prokuratorii Generalnej oraz adwokaci realizowali ideę służby publicznej, którą uważano za istotę zawodów prawniczych. Informacje o pozasłużbowej działalności radców Prokuratorii Generalnej pochodzące z materiałów źródłowych Archiwum Państwowego w Poznaniu ilustrują aktywność przedwojennych prawników na tym polu.

Prokuratoria Generalna grupowała przede wszystkim osoby wykonujące zawód prawnika. Związki radców Prokuratorii z innymi prawnikami były żywe. Przykładowo organizatorzy Ogólnopolskich Zjazdów Adwokatów Polskich zapraszali na nie przedstawicieli Prokuratorii Generalnej. Radcy Prokuratorii utrzymywali związki z Palestrą także na lokalnym poziomie. Izba Adwokacka w Poznaniu zapraszała Prezesa Oddziału Prokuratorii Generalnej do udziału w swoich walnych zebraniach. Utrzymywano także oficjalne i mniej oficjalne stosunki towarzyskie z korpusem sędziów i prokuratorów. W listopadzie 1935 roku Zarząd Koła Sędziów i Prokuratorów RP wystosował do Prezesa poznańskiego Oddziału Prokuratorii Generalnej, jak i do całego urzędu, zaproszenie do wzięcia udziału w zebraniu towarzyskim oraz wspólnej kolacji.

Urzędnicy Prokuratorii Generalnej byli także aktywni na polu nauki oraz dydaktyki akademickiej. Prezes Oddziału Prokuratorii Generalnej we Lwowie W. Hemarski wykładał przedmioty prawnicze na Politechnice Lwowskiej, był egzaminatorem przedmiotów prawniczych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, pełnił również funkcję Komisarza Egzaminacyjnego na egzaminie sędziowskim. W egzaminach sędziowskich jako egzaminatorzy brali też udział inni urzędnicy lwowskiej Prokuratorii m.in. radcowie Skracha, Bartel, Szydłowski i Skrowaczewski. Radca dr K. Krzyżanowski wykładał prawo administracyjne na Uniwersytecie w Wilnie. W roku 1928 referendarz oddziału krakowskiego dr J. Gwiazdomorski uzyskał veniam legendi z zakresu prawa cywilnego na Uniwersytecie Jagiellońskim, a w roku 1929 referendarz dr K. Przybyłowski został mianowany profesorem nadzwyczajnym prawa prywatnego na Uniwersytecie Lwowskim. Profesorem Uniwersytetu w Poznaniu był pierwszy Prezes tamtejszego Oddziału Prokuratorii Generalnej W. Prądzyński. Aktywność pracowników Prokuratorii Generalnej na polu nauki była imponująca. Znaczna liczba urzędników referendarskich i aplikantów miała stopnie naukowe doktora nauk prawnych. W 1922 r. na 21 osób zajmujących kierownicze stanowiska w Prokuratorii Generalnej stopień doktora miało 12 osób, w tym całe kierownictwo oddziałów w Krakowie i Lwowie. W 1926 r. na 141 radców, referendarzy i aplikantów doktorat miały 63 osoby, w 1930 na 158 osób doktorat miało 77 osób, w 1934 na 191 radców, referendarzy i aplikantów z doktoratem było 78 osób. W poszczególnych grupach służbowych współczynnik ten był różny. W 1930 r. wśród 63 radców doktoratem mogły się wykazać 43 osoby. Urzędnicy Prokuratorii Generalnej byli także autorami licznych publikacji naukowych z różnych dziedzin prawa. Głęboka znajomość prawa powodowała, że bardzo często pracownicy Prokuratorii Generalnej byli zapraszani do wygłoszenia wykładów na posiedzeniach licznych towarzystw naukowych. W Poznaniu urzędnicy tamtejszego Oddziału brali udział w pracach m.in. Towarzystwa Prawniczego i Ekonomicznego czy Towarzystwa Wiedzy Wojskowej.

Urzędnicy Prokuratorii Generalnej, w szczególności ci, którzy zajmowali w Prokuratorii kierownicze stanowiska, udzielali się społecznie. Prezes S. Bukowiecki brał m.in. udział w pracach Komitetu Obchodów 10–lecia Odzyskania Niepodległości Państwa Polskiego. Prezes Oddziału Prokuratorii Generalnej w Poznaniu Fr. Duralski wielokrotnie był zapraszany do udziału w różnego rodzajach komitetach honorowych np. z okazji 14–lecia objęcia w posiadanie Morza Bałtyckiego, czy Komitecie Zbiórki Odzieży dla Bezrobotnych w Poznaniu, któremu patronowali biskup Dymek i Prezydent Poznania Więckowski. Pomoc bezrobotnym była w Poznaniu tradycją. Urzędnicy poznańskiego Oddziału Prokuratorii Generalnej często kwestowali na rzecz bezrobotnych. Charytatywną działalnością pochwalić się mogli wszyscy urzędnicy Prokuratorii Generalnej. W 1934 r. urzędnicy postanowili przez 3 miesiące przekazywać na rzecz powo-

dzian 1 % swoich uposażeń, a prezes Bukowiecki cały swój dodatek funkcyjny. Nie był to odosobniony przykład obywatelskiej solidarności. W 1936 r. z inicjatywy Zarządu Stowarzyszenia Urzędników Referendarskich Prokuratorii Generalnej RP i Stowarzyszenia „Samopomoc" pracowników Prokuratorii Generalnej oraz stowarzyszeń sędziów i prokuratorów, polscy prawnicy podjęli decyzję o dobrowolnym opodatkowaniu się na zakup kompanii czołgów. Wszyscy pracownicy Prokuratorii Generalnej przystąpili do zbiórki funduszy przeznaczając na ten cel odpowiedni do uposażeń procent swoich zarobków. Stosunek dobrowolnej daniny publicznej do zarobków przedstawiał się następująco: uposażenie do 200 zł. – 0,25%; do 300 zł. – 0,50%; do 600 zł. – 1%; do 1000 zł. – 1,5%; powyżej 2000 zł. – 2%.

Poznańscy urzędnicy Prokuratorii Generalnej brali też udział w życiu religijnym społeczności Poznania. Do Prokuratorii Generalnej w Poznaniu wysyłano oficjalne zaproszenia do wzięcia udziału w nabożeństwie z okazji Święta 3–go Maja. Radcy Prokuratorii często brali udział w uroczystościach pogrzebowych organizowanych w związku ze śmiercią lub rocznicą śmierci osób powszechnie znanych, takich jak: Marszałek J. Piłsudski, minister B. Pieracki, b. Prezydent Republiki Francuskiej R. Poincare, kardynał E. Dalbor czy H. Święcicki Rektor Uniwersytetu Poznańskiego lub J. Motte pierwszy Prezes Sądu Apelacyjnego w Poznaniu.

Ogromne zaangażowanie całego korpusu urzędniczego Prokuratorii Generalnej na licznych płaszczyznach życia społecznego zostało docenione. Wielu pracowników Prokuratorii Generalnej uhonorowano za ofiarną służbę publiczną wysokimi odznaczeniami państwowymi. W 1931 r. Prezes Prokuratorii Generalnej S. Bukowiecki został odznaczony Krzyżem Niepodległości i dwukrotnie w roku 1931 i 1937 Złotym Krzyżem Zasługi. Krzyżami Komandorskimi Orderu Odrodzenia Polski odznaczeni zostali m.in. w 1929 r. Prezes Oddziału Prokuratorii Generalnej w Poznaniu Fr. Duralski, w 1930 r. Wiceprezes Prokuratorii Generalnej J. Sukiennicki, Prezes Oddziału Prokuratorii Generalnej w Katowicach W. Sachanek.

Prokuratoria Generalna w całym okresie swojego funkcjonowania grupowała urzędników gorliwie i sumiennie wykonujących powierzone im zadania, osoby światłe i doskonale wykształcone, przepełnione troską o losy Narodu i państwa polskiego, nie szczędzące wysiłku na ich rzecz w trudnych momentach odtwarzania państwowości po kataklizmach wojennych i w toku zwykłych czynności dnia powszedniego. Podejmijmy wysiłek by i o nas za kilkadziesiąt lat można było pisać tak, jak o prawnikach Prokuratorii Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej. [ ]

Co premier miał na myśli?

Poniżej przytaczam zamieszczoną niedawno na jednym z portali internetowych informację podaną przez Polską Agencję Prasową.

W dniu 24 września 2007 r., na wiecu wyborczym w Kielcach, Jarosław Kaczyński odniósł się m.in. do sprawy aresztowania kardiochirurga ze szpitala MSWiA dr. G.: Co się dzieje, kiedy dr G. zostaje aresztowany? Mamy do czynienia najpierw z ostrym atakiem medialnym, ze swojego rodzaju adoracją dr. G., a następnie z licznymi decyzjami sądów, **które odbiegają od normy, od sposobu traktowania tego rodzaju przypadków** – stwierdził Jarosław Kaczyński. Jak przekonywał, **"niejeden człowiek oskarżony o znacznie lżejszy przypadek korupcji musi spędzać bardzo dużo czasu w areszcie tymczasowym"**.

Jak rozumieć słowa premiera?
Czy uważa on, iż sądy zbyt pochopnie szafują tymczasowym aresztowaniem i – na kanwie przypadku słynnego już doktora - postanowił im to w nieco zawoalowanej formie wytknąć? Czyżby dostrzegał, iż w niemałej ilości przypadków (na przykład przy „lżejszych przypadkach korupcji") ten drastyczny środek procesowy wydaje się być stosowany niemal automatycznie i bez głębszego zastanowienia? Premier zauważył zapewne, jaką popularność zyskał używany ostatnio przez innych polityków i media zwrot językowy „areszt wydobywczy", który oznaczać ma – jak wszyscy wiedzą - stworzenie możliwie dogodnych warunków dla podejrzanego, tak by mógł w spokoju, w oderwaniu od codziennego zgiełku ulicy, przypomnieć sobie (wydobyć z siebie) istotne okoliczności, mogące mieć znaczenie dla prowadzonego postępowania, najlepiej potwierdzające uprzednio postawione przez śledczych tezy. Może i zdaniem Jarosława Kaczyńskiego, podobnie jak Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, z tym stosowaniem tymczasowego aresztowania trochę stoimy na bakier z europejskimi standardami.

A może jednak przyświecały jemu inne intencje? Może miał na myśli, że niektóre sądy zawiodły, bowiem nie dostosowały się do istniejącej „normy", czyli nie przedłużyły doktorowi aresztu, choć wnioskował o to prokurator. Przecież jeśli prokurator – strażnik praworządności – wnioskuje o areszt, to musi mieć ważne, obiektywnie uzasadnione, powody.

Odpowiedzi na pytanie postawione na wstępie udzieli sobie każdy nas, i zapewne bez większego trudu odgadnie, czy dla premiera wspomniana „norma" ma wydźwięk pozytywny, czy też nie.

Przy okazji natomiast odpowiedzmy sobie na kolejne pytanie: **czy potrzeba przypadku doktora G., by uświadomić sobie, iż każdy wniosek prokuratora o tymczasowe aresztowanie winien być wnikliwie badany?** [ ]

Adw. Piotr Dobrołowicz

Prokurator niezłomny

Niedawno zmarłego Jurka Zimowskiego poznałem jesienią 1964 r., kiedy odbywaliśmy aplikacje – on prokuratorską, a ja sądową. Ówczesne nasze częste spotkania i rozmowy dotyczyły głównie pracy i życia, mniej polityki.

Po zdaniu egzaminów zaczęła się codzienna działalność zawodowa. Jurek z wielką pasją prowadził powierzone mu najpierw dochodzenia, a później śledztwa. W krótkim czasie, wraz z nieco starszym Andrzejem Milczanowskim, prowadząc najpoważniejsze sprawy stali się czołowymi prokuratorami tzw. „pierwszej linii". Żartowaliśmy nieraz, że spod ich rąk nie da się wywinąć, a sprawy skierowane przez nich do sądu to pewny wyrok skazujący.

Nadszedł jednak trudny dla Polski rok 1971, w którym dokonała się zmiana kierownictwa PZPR, przynosząca wiele negatywnych zmian, także dla wymiaru sprawiedliwości. Wówczas cała Polska śledziła „spektakularne", opisywane na pierwszych stronach gazet śledztwo, a następnie proces kelnera oskarżonego o zabójstwo studenta. Sprawa ta zakończyła się w roku 1972 w Sądzie Wojewódzkim w Szczecinie wyrokiem skazującym. Zmieniono jednak kwalifikację czynu na nieumyślne pozbawienie życia, a Sąd Najwyższy złagodził o połowę karę pozbawienia wolności. Te dwie ostatnie informacje ukazały się jednak normalną czcionką na dalszych stronach gazet.

Latem 1971 roku lokalne szczecińskie gazety zamieściły kolejną „tragiczną" wiadomość o zabójstwie konduktora MPK, który umarł „na posterunku pracy". Prowadzenie tego śledztwa powierzono wiceprokuratorowi Prokuratury Powiatowej w Szczecinie – Jerzemu Zimowskiego. Tenże, po przedstawieniu zarzutu z art. 148 § 1 dkk wydał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu podejrzanego do października 1971 r.

Z opisu wydarzenia wynikało, że 30.07.1971 r. ok. godz. 17.00 w pobliżu zajezdni autobusowej przy ul. Staszica konduktor MPK został nagle zaatakowany przez podpitego pasażera, który schwycił go od tyłu za szyję. Obaj mężczyźni upadli na ziemię. Przebywający w pobliżu przechodnie, interweniując oderwali napastnika od pokrzywdzonego. Następnie poszkodowany zaprowadzony został do dyspozytorni, gdzie po krótkim czasie zasłabł. W czasie transportu karetką do szpitala napadnięty konduktor zmarł. Jak się okazało, zatrzymany napastnik był w stanie upojenia alkoholowego (1,99%) i wracał do domu z żoną po rodzinnej uroczystości.

Przeprowadzona już 2.08.1971 r. sekcja zwłok wykazała, że przyczyną zgonu pokrzywdzonego były zmiany miażdżycowe i pozawałowe serca, nie stwierdzono przy tym śladów dławienia.

Dopuszczony został także dowód z badań psychiatrycznych i obserwacji szpitalnej podejrzanego, w wyniku których lekarze rozpoznali u badanego organiczne zmiany mózgowe, ale nie stwierdzili istnienia choroby psychicznej. Uznali jednak, że w chwili dokonania czynu sprawca znajdował się w stanie upojenia alkoholowego atypowego na podłożu patologicznym. Wobec takiej konkluzji stwierdzono, że napastnik miał w stopniu znacznym ograniczone rozumienie czynu i pokierowanie postępowaniem (art. 25 § 2 kk).

Ponieważ śledztwo ciągle nasuwało wątpliwości, prowadzący je Jerzy Zimowski zwrócił się do Zakładu Medycyny Sądowej w Szczecinie ze szczegółowymi pytaniami, wnosząc o wydanie dodatkowej opinii na temat charakteru i mechaniki powstania obrażeń u ofiary.

Prof. Walczyński stwierdził, że przyczyną zgonu był świeży zawał serca, który nie mógł jednak powstać w czasie, który upłynął od chwili zaistnienia zajścia między sprawcą czynu a pokrzywdzonym do chwili zgonu. Czyli mówiąc krótko, zawał nastąpił przed zajściem. Dodatkowo stwierdzono, że uchwycenie człowieka za szyję ze zmianami, jakie stwierdzono u pokrzywdzonego (drobne otarcia naskórka), nie mogło prowadzić do wniosku, że sprawca podjął działania zmierzające bezpośrednio do pozbawienia życia ofiary. Doszło więc do bardzo nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

W tym momencie materiał dowodowy był kompletny i w ocenie prowadzącego śledztwo nie kwalifikował się do stosowania art. 148 § 1 kk; co najwyżej w grę wchodziła kwalifikacja z art. 233 kk (czynna napaść na funkcjonariusza publicznego) lub też artykuł 182 kk (naruszenie nietykalności osobistej). Ze stanowiskiem podwładnego zgadzali się w pełni zarówno szefowie Prokuratury Powiatowej, jak i Wojewódzkiej.

Jednak Jerzego Zimowskiego wezwano do Prokuratury Generalnej. Przedstawiony przez rzetelnego kolegę

Jerzy Zimowski *urodził się w Krakowie, gdzie w 1964 roku ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Następnie przyjechał do Szczecina, by po odbyciu aplikacji prokuratorskiej pracować jako prokurator Powiatowy w Szczecinie. Po złożeniu rezygnacji i odejściu ze służby w dniu 31 maja 1972 roku, podjął pracę jako radca prawny i pracował między innymi w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej w Szczecinie. Tam był jednym z organizatorów komitetu strajkowego w 1980 roku, zaś po powstaniu NSZZ „Solidarność" kierował biurem prawnym Zarządu Regionu na Pomorzu Zachodnim. Od 13 grudnia 1981 do 23 grudnia 1982 roku przebywał w ośrodkach w Wierzchowie Pomorskim i Strzebielinku. Od 1983 do 1989 roku działał w Tajnej Radzie Korporacyjnej Solidarności w Szczecinie, pisał artykuły do wydawnictw bezdebitowych i prowadził wykłady w Inteligencji Katolickiej. W 1989 r. należał do Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie; wtedy został również posłem w tzw. Sejmie Kontraktowym. Następnie w latach 1990 – 1996 objął funkcję podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Od 1997 roku pracował jako adwokat i równocześnie prowadził działalność polityczną. Zmarł 15 sierpnia 2007 roku w Odessie.*

referat nie przekonał władzy, która kazała mu wnieść akt oskarżenia z art. 11 § 1 w związku z art. 148 § 1 kk. Sprawa stała się zbyt głośnia i „spektakularna", by dopuścić do zmiany kwalifikacji i tym samym osłabić wymowę społeczną procesu, chodziło wszak o pokrzywdzonego „człowieka pracy".

Jerzy Zimowski zadecydował jednak inaczej. Po sporządzeniu aktu oskarżenia[1], napisał również drugie pismo z prośbą o zwolnienie go ze służby w prokuraturze.

Bez wątpienia lektura tego właśnie podania była szokiem dla całego kierownictwa prokuratury. Zimowskiego uznawano bowiem za wybitnego oskarżyciela, znakomitego, wielokrotnie nagradzanego pracownika. Co najważniejsze – przed Zimowskim otwierała się dalsza świetna kariera.

Ta niespodziewana rezygnacja z tej drogi zawodowej była też wielkim zaskoczeniem dla najbliższego współpracownika i przyjaciela – Andrzeja Milczanowskiego oraz kolegów ze środowiska prawniczego.

Jak już wspomniałem, każdy, kto widział i słyszał Jerzego oskarżającego mógł się wiele nauczyć, a jego wystąpienia stanowiły sztukę prawniczą samą w sobie. Szefowie Prokuratury Powiatowej i Wojewódzkiej uczciwie wystawili mu znakomite i niesztampowe opinie, podkreślając nie tylko jego ponadprzeciętne umiejętności, ale także sposób podejmowania decyzji – rozważny i trafny.

Jerzy Zimowski, namawiany do zmiany osobistej decyzji o rezygnacji, oświadczył, że nie mógłby spojrzeć uczciwie w oczy sądowi, oskarżając o zabójstwo prostego robotnika, który działał nie w pełni świadomie i nie miał zamiaru zabicia człowieka.

W czerwcu 1972 r. Jerzy Zimowski podjął pracę w Centrali Nasiennej jako radca prawny.

Dalsze szczecińskie losy Jerzego zawiodły go później do MZK (dawniej MPK), gdzie organizował „Solidarność", nadal służąc robotnikom, ale nie socjalistycznej ojczyźnie.

Opisywane fakty stanowią nieprzypadkową, ale zarazem niepełną egzemplifikację życiowej i zawodowej postawy Jerzego Zimowskiego – postaci wybitnej w środowisku prawniczym, także z powodu niezwykle szerokich zainteresowań, których odbiciem była jego gromadzona ze znawstwem biblioteka, z bezcennymi wydawnictwami bezdebitowymi i paryskiej „Kultury".

W mojej pamięci Jurek pozostanie jednak przede wszystkim jako wspaniały prokurator, który podejmując heroiczną na owe czasy decyzję, stanął rzeczywiście w obronie sprawiedliwości i prawa. [ ]

Marek Karakulski
prokurator w stanie spoczynku

1) Historia tego procesu jest niezwykle długa i znacząca. Sąd szczeciński po czterech rozprawach 13.06.72 r. uznał oskarżonego za winnego występku z art. 1827 1 kk, w zw. Z art.25 & 2 kk i skazał go na karę 10 miesięcy pozbawienia wolności, wypuszczając skazanego na wolność. Następnie, po rewizji wniesionej przez prokuraturę, Sąd Najwyższy utrzymując wyrok w mocy, stwierdził w pisemnym uzasadnieniu, że miejscowa prasa informowała opinie publiczną niezgodnie z rzeczywistością, pisząc o zabójstwie „konduktora", który rzekomo zginął na posterunku pracy w wyniku napaści pijanego osobnika, mimo że Prokuratura Powiatowa już 2.08.71 r. dysponowała wynikami sekcji zwłok, wskazującymi na faktyczną przyczynę zgonu. Następnie, w wyniku rewizji nadzwyczajnej Sąd Najwyższy skierował sprawę do ponownego rozpoznania, a sąd szczeciński wydał identyczny wyrok, który również został zaskarżony. Ostatecznie – sprawa został umorzona na podstawie ustawy o amnestii z 1974 r.

Złota polska jesień...

Stało się! Kraj w żałobie; lament i zawodzenie płaczek jeno słychać. Ustawodawca, po heroicznej walce, padł pod razami niewdzięczników i zdrajców, renegatów z różnych ugrupowań i sowieckich agentów. Sierotami zwykłymi zostaliśmy. O niebożęta my, biada nam, biada. Kto nam teraz uchwali kolejną zmianę do zmiany nowelizacji, kto kodeks postępowania jednego i drugiego w takim tempie i zakresie nam zmieni, kto kolejne drzwi do zawodów prawniczych młodzieży naszej otworzy. Nie wiem, sam nie wiem; łzy oczy zalewają a żal gardło ściska, że i słowa z klawiatury wydobyć nie mogę. Temida nam Prezydent z litości odwołał, żeby go powołać, bo inni chcieli go tylko odwołać. Głowa Państwa robi co może aby dorobek nie przepadł; mianowania sędziów odmawia aby rzeszy niewdzięczników nie powiększać. Gorycz rozum odbiera i dlatego ukojenia na łonie natury szukać postanowiłem, natchnienia i pocieszenia w jej odwiecznym rytmie wypatrując.

A tu jesień idzie złota, polska, a wraz z nią wykopki i kampania buraczana, cukrowniczą także zwana. W pole więc, w pole bracia chodźmy, bo jak sami nie pójdziemy, to chętnie nas w nie wyprowadzą. Przypatrzmy się z bliska tej gromadzie w widły, haczki i orczyki uzbrojonej, jak do roboty się zabiera.

Wykopki i zbiór buraków to zajęcie pożyteczne i wdzięczne. Plantatorzy już spodziewane korzyści liczą. Najpierw jednak kupców na plony znaleźć trzeba. Akcja reklamowa pełną parą idzie. Każdy swój towar zachwala. Niektórzy, a właściwie wszyscy tylko z różnym natężeniem przypominają, że aby wykopać to trzeba najpierw posadzić. Stawiają znak równości pomiędzy sadzaniem a wykopaniem. Posadzony równa się wykopany, co z kolei nie wyklucza ponownego posadzenia. To dobry chwyt marketingowy. Im lepszy sadzeniak tym wykopki efektowniejsze. Proponuję, nieodpłatnie do wykorzystania w kampanii i wykopkach kilka haseł: *Wykopmy razem, a posadzimy też razem! Wybierz nasze buraki! O bulwa, ale burak! Nasze buraki osłodzą ci życie! Nie bądź taki wybierz buraki! Nie bądź smarkaczem zostań kopaczem! Nasze buraki to są chojraki! Nasze bulwy i buraki to prawdziwe podziemniaki!* Mogę tak długo, ale nie będę rzucał pereł przed wieprze.

Niektórzy widzą tylko kampanię nie widząc poprzedzającego ją trudu tych upartych producentów słodyczy. O sadzaniu, czyli wdeptywaniu w grunt lub/i w błoto, mówiłem. Wspomnę o hakaniu. Zabieg ten jest niezbędny przed zbiorami. Trzeba produkt przeznaczony do zbycia dokładnie odchwaścić, oddzielić od wrastających weń trujących zielsk. To wymaga rycia, zduszenia gołemi rękami szkodliwej gadziny i wyhaczenia jej zanim zagłuszy zdrowy korzeń i przebije się na powierzchnie. A nawożenie – rzecz niby znana, ale ile się taki uprawca łajna narozrzuca, widłami narobi, to tylko on jeden wie. Chociaż, zdarza się, że gotowy produkt, owoc jego pracy przesiąknąwszy nawozem, zalatuje co nieco i trzeba go wypachnić przed wystawieniem na przetargu. A selekcja wstępna – oddzielenie zgniłków czy choćby nadpsutych egzemplarzy od tych zdrowych samo się zrobi? Niejedną bulwę trzeba przed zaoferowaniem dobrze wyszorować, olejami natrzeć, koloru nadać, kłącza przystrzyc. Pacykarze też muszą zarobić. Wreszcie trzeba przekonać konsumentów o wyjątkowo dużej zawartości cukru w tym cukrze. O życiodajnych pierwiastkach kryjących się w darach naszej wspólnej ziemi, wyhodowanych na rodzimym – palce lizać – gnoju absolutnie ekologicznym, niepowtarzalnym. Konieczne jest także wytworzenie przekonania, że wszystko to, gdy tylko zagości w naszych domach, rozmnoży się cudownie, szary dzień w dolce vita każdemu przemieniając. Tutaj do akcji wkraczają cukiernicy i specjaliści od lukrowania. Ich rolą jest przekonać nas, że ta słodycz to sól tej ziemi. Niełatwe zadanie – słodka sól – dlatego: *„pochwaleni niech będą ornamentatorzy, ozdabiacze i sztukatorzy / twórcy aniołków fruwających."*

Po każdej kampanii niemało produktów ubocznych i niemała ilość sztuk niesprzedanych zostaje. Najczęściej idą na kiszonkę lub melasę. Niektórzy z nich w jakiejś gorzelni za półprodukt siwuchy robić będą lub zostaną starci na placki. Inni, na jarmarkach jako wata cukrowa skończą. W większości jednak zostaną nawozem pod nowy zasiew.

Tak, natura uczy i jest nieomylna, żyjmy w zgodzie z nią: wykopmy buraki! Już czas.

Byłbym zapomniał. Oto moje hasło. W obowiązującej stylistyce utrzymane: *Nie zapominaj mordo Ty moja, że ta Kampania jest także Twoja!*

[Para–Graf]

P.S. Kiedyś dostałeś kartkę, ale nie miałeś wyboru, mogłeś za nią nabyć tylko cukier w ograniczonej ilości. Teraz dzięki kartce możesz wybrać... niczym nieograniczonego buraka....???

Masz pełne prawo

LEX
a Wolters Kluwer business

www.LEX.com.pl
infolinia 0 800 120 188

Sprawdź koniecznie najnowsze zmiany w ofercie LEX!

- Super wyszukiwanie kontekstowe! - LEX on-line
- Pierwszy angielsko-polski słownik orzecznictwa sądów europejskich - LEX na CD/DVD

Serwis Prawniczy LexisNexis®

LexPolonica DOJRZALSZA jesienią

Nowe funkcje:

- Intuicyjne, zaawansowane wyszukiwanie informacji
- Ulepszone sortowanie listy rezultatów
- Ustawianie wszystkich aktów prawnych na wybraną datę
- Możliwość przywołania wersji aktów prawnych bezpośrednio z poziomu artykułów, paragrafów
- Kalendarium w serwisie Aktualności Prawne

AKTUALNA • KOMPLEKSOWA • RZETELNA

informacja z zakresu prawa w jednym miejscu, w kilka sekund!

Zamów prezentację - **022 572-99-99**

www.LexisNexis.pl

LexisNexis®